

# KORRESPONDENT WARSZAWSKI

nr 7

maj 2022

korrespondent.pl



## Zieleń na Pradze. Między betonową pustynią a sąsiedzkiem ogrodem

**„Praga-Północ ostatnia w rankingu dzielnic Warszawy pod względem zieleni!”. Takı smutny news pojawił się ostatnio w stołecznej przestrzeni medialnej za sprawą jednego z portali nieruchomościowych, który opublikował bardzo ciekawy raport dotyczący zieleni w dzielnicach Warszawy, Poznania i Krakowa.**

**Za warstwę merytoryczną raportu odpowiadali badacze z prawobrzeżnego Uniwersytetu SWPS.**

Dzielnice przebadano według trzech kryteriów ilościowych (pokrycie koronami drzew, wskaźnik roślinności, bliskość zieleni urządzonej) oraz jednego jakościowego (badanie ankietowe mieszkańców i mieszkanek dotyczące postrzegania dzielnic pod kątem zieleni miejskiej).

Warszawska Praga zaliczyła ostatnie miejsce wśród trzech spośród łącznie czterech wskaźników – przyzwoity wynik uzyskała tylko w zakresie zieleni urządzonej. Niestety nic to nie dało – „Prażka” i tak zamknęła podium, plasując się za Włochami, których znaczną część zajmuje ogromne Lotnisko Chopina, oraz Ursusem, którego 20 procent powierzchni to dziś plac budowy w miejscu po dawnych Zakładach Mechanicznych.

Jak dzielnica znajdująca się nad dzikim brzegiem Wisły mogła osiągnąć tak niski wynik i czy faktycznie na Pradze tak dramatycznie brakuje zieleni?

Nie da się ukryć, że na Pradze-Północ kuleje przede wszystkim zieleni przyuliczna. Już tylko historycy pamiętają działania społecz-

ników i urzędników z komitetu plantacyjnego, który w początkach XX wieku zamieniał w zielone aleje takie ulice jak Targowa, Wileńska i Stalowa. Mało kto pamięta też nasadzenia powojenne.

Z biegiem lat zieleni przyulicznej ubywało, a swoiste apogeum tego procesu nastąpiło wraz z budową metra. Z dawnej zielonej Targowej, głównej arterii Pragi, zostało wówczas niewiele. Choć jeszcze na początku XX wieku ulica ta tonęła w zieleni, obecnie stanowi ruchliwą pseudoobwodnicę mającą po kilka pasów ruchu w każdym kierunku.

Na szczęście powoli się to zmienia – dzięki inicjatywom takim jak „Targowa dla ludzi” czy „Zielona Targowa” stołeczny ratusz sukcesywnie zazielenia najważniejszą ulicę Pragi, na razie nie naruszając jednak status quo podziału przestrzeni. O ile po wschodniej stronie ulicy na chodniku pojawiły się nowe pasy zieleni, o tyle po stronie zachodniej władze rozkładają ręce – chodniki są za wąskie, a zabranie jednego pasa ruchu pod zieleni nie wchodzi w grę.

Targowa to jednak tylko jeden z przykładów pozbawionych zieleni ulic. Bezmiarem betonu nadal straszą takie ulice jak Okrzei, Mała i Brzeska – na ostatniej z nich, między ulicą Żąbkowską a Kijowską, nie ma ani jednego drzewa czy choćby kawałka pasa zieleni. I to mimo nakazu nasadzenia szpaleru drzew, który wprost wynika z zapisów miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Konsekwentnie odrzucane są projekty do Budżetu Obywatelskiego składane m.in. przez członków naszego stowarzyszenia Porozumienie dla Pragi, mające na celu zmianę tego statusu – priorytety władz dzielnicy są jednoznaczne: jak najwięcej miejsc parkingowych, nawet jeżeli mają one świecić pustkami.

Taki stan praskich ulic to niestety smutna konsekwencja sprowadzania ulic do funkcji wyłącznie transportowej, która na Pradze-Północ trwa nieprzerwanie co najmniej od lat 70. XX wieku. Władze dzielnicy nie są zainteresowane zmianą tego statusu, ale także władzom miasta trzeba przypominać o zieleni. Przykładem niech będzie ulica Kijowska, na której no-

wym fragmencie oddanym do użytku jesienią 2017 roku nie przewidziano szpaleru drzew mimo szerokiego pasa zieleni przyulicznej. Dopiero po kilku latach starań okolicznych mieszkańców – w tym autorów tekstu – Zarząd Zieleni m.st. Warszawy zaczął dosadzać w tym miejscu klony polne.

To, że mieszkańcy dzielnicy chcą zieleni, jest więcej niż pewne – widać to zarówno po wynikach badań ich potrzeb, jak i po zwycięskich projektach do Budżetu Obywatelskiego. Wystarczy wspomnieć nowe skwery przy ul. Kępnej na Starej Pradze czy ul. Kotsisa na Golędzinowie, tuż obok kolonii Śliwice, zazielenianie ul. Radzywińskiej czy skwery kieszonkowe powstające na pustych działkach pomiędzy kamienicami. A już w tym roku dołączy do nich kolejny zieleniec na rogu ulic Szwedzkiej i Strzeleckiej. To jednak kropla w morzu.

Najbardziej dobitnym przykładem tego, że na Pradze trzeba walczyć o każdy skrawek

**Dokończenie na s. 2**





# Dzielnica Kampinos

**Po zwróceniu uwagi opinii publicznej na Wisłę czas na dostrzeżenie kolejnego obszaru natury, znajdującego się tym razem w aglomeracji warszawskiej – Kampinosu.**

Nasze miasto jest jedyną stolicą w Europie, która graniczy z parkiem narodowym, a jak zauważa prezydent USA Barack Obama w popularnej netflixowskiej produkcji o przyrodzie, parki narodowe odgrywają kluczową rolę w systemie ochrony przyrody, turystyce i edukacji. Warto przyjrzeć się sprawie bliżej, bo gdy rzecz dotyczy przyrody, to dotyczy także jakości naszego życia. Dlatego powinniśmy myśleć zarówno o możliwościach turystycznych i edukacyjnych, jak i odpowiedzialności za naturę.

Dawno, dawno temu Mazowsze było pokryte puszciami. W konsekwencji pojawienia się człowieka las ustępował polom pod uprawę i hodowlę. Wycinano go również ze względu na budulec, czyli drewno. O zyskach z wycinki przypomina niedawna wystawa w Muzeum Historii Warszawy – były one na tyle wymierne, że w 1915 roku cesarstwo niemieckie wycięło wiele hektarów Kampinosu jako łup wojenny na cesarstwie rosyjskim.

Nie tylko żywica ciekła w puszczy, ale i krew. W Kampinosie toczyły się walki przegranych powstań, wojny obronnej 1939 roku. W Palmirach eksterminowano elitę narodu i w ramach niemieckiej akcji AB rozstrzelano ponad dwa tysiące ludzi – przeważnie warszawiaków. Po II wojnie światowej na terenach puszczy utworzono park narodowy i zaczęto działać na rzecz ekosystemu i chronić przyrodę. Choć wiele można zarzucić władzy ludowej, to jeszcze u swojego schyłku w latach 80. XX wieku udało się jej poszerzyć teren parku oraz otaczającej go otuliny.

## Dzielnica Kampinos

Pamiętam wyprawy do parku na przełomie wieków – autobusem 110 i na piechotę w jego głąb – wpierw Polana Opaleń i dalej. Dziś szereg aut stoi na parkingach i rozlewa się na kolejne drogi dojazdowe. Na wzmiankowaną polanę prowadzi szlak, którego nawierzchnię wzmocniono, przez co stał się on niemal parkową aleją. Ja ze względu na jej podłoże, ale przede wszystkim ruch pieszych i rowerzystów nazywam fragment tego szlaku „autostradą turystyczną”. Jest to jedno z kilku popularnych miejsc, które w weekendy jest oblegane przez warszawiaków i mieszkańców innych znajdujących się nieopodal miejscowości – Łomianek, Starych Babic, Pruszkowa, Izabelina i Truskawia. Ruch jest tak duży, że coraz większe części Kampinosu stają się przestrzenią niemal parkową. Mikro turystyka kwitnie – i bardzo dobrze, że tak się dzieje. Musimy jednak pomyśleć, jak najlepiej wykorzystać możliwości, które daje Kampinos.

## Edukacja

W ramach Kampinoskiego Parku Narodowego funkcjonują trzy placówki edukacyjne. Znajdują się tu też ścieżki ekologiczne oraz tablice informujące o faunie i florze. W Granicy (gdzie znajduje się dyrekcja) odbywają się różnego rodzaju warsztaty. Szkoły i organizacje pozarządowe organizują tu wycieczki krajoznawcze i inne wyprawy edukacyjne. W Kampinosie jest też Muzeum Palmiry przypominające tragiczny epizod II wojny światowej. Można tu znaleźć miejsca pamięci o powstańcach i partyzantach.

## Biznes

Turystyka w KPN i w jego okolicach kwitnie. Spływy kajakowe Bzurą, stadniny koni, wypożyczalnie rowerów, gastronomia. Wszystko to przynosi wymierne korzyści dla okolicznej ludności i inwestorów. Obecnie park narodowy jest ponad czterokrotnie większy od Warszawy. Prędzej więc Warszawa jest dzielnicą Kampinosu niż Kampinos Warszawy – zwłaszcza że park okala otulina. W ostatnich latach znacząco zmienia on swój charakter. Zwłaszcza w częściach bezpośrednio graniczą-

cych ze stolicą – na wschodzie i na południu parku ruch turystyczny jest coraz większy. To właśnie w tych częściach widać największe przeobrażenia i wynikające z nich profity.

## Ochrona

Rolą parków narodowych jest ochrona przyrody i w tym zakresie dzieje się bardzo dużo. Dyrekcja parku ma się czym pochwalić. Przykładem niech będzie chociażby wzmiankowana już w „Korespondencie” hodowla żubrów w Smardzewicach czy też powstrzymanie wycinki puszczy, wytyczenie szlaków, reaturyzacja oraz zatrzymanie spadku liczby przedstawicieli zamieszkujących puszcze gatunków zwierząt. Udało się także ochronić oryginalne kształty i występowanie wydm śródlądowych.

## Narodowy park

Nie wszyscy jednak korzystają z dobrodziejstw tego miejsca we właściwy sposób. Park coraz częściej jest rozjeżdżany przez kłady. Ponadto powstaje znaczna sieć dróg, drózek i ścieżek obok szlaków przeznaczonych dla turystów. Problemem są także śmieci pozostawiane w puszczy przez jej użytkowników, mimo że dbanie o przyrodę jest konstytucyjnym obowiązkiem każdego Polaka. Dlatego konieczne jest wypracowanie odpowiednich regulacji i dobrych praktyk, które pozwolą chronić to niezwykle dziedzictwo naturalne oraz zapewnią mieszkańcom Warszawy i jej okolic trwały dostęp do dzikiej przyrody, a tym samym – wyższą jakość życia.

**TEKST: WIKTOR JASIONOWSKI  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**





# Zwykli niezwykli lekarze w getcie warszawskim

**Jesienią 1940 r. 400 tysięcy osób zostało zamkniętych za bramami getta warszawskiego. Niedobór żywności, środków higieny, leków i szerzące się epidemie tyfusu i duru brzusznego – z tym wszystkim musiała mierzyć się niewielka grupa personelu medycznego, która dysponowała 10 niezaopatrzonymi aptekami i dwoma szpitalami. Wśród zaledwie 700 lekarzy getta znaleźli się Anna Braude-Hellerowa i Franciszek Raszeja, którym poświęcona została najnowsza wystawa Muzeum Getta Warszawskiego.**

Anna Braude-Hellerowa na świat przysłała w 1888 r. w Warszawie w rodzinie kupca z branży jedwabniczej. Studia medyczne realizowała za granicą – najpierw w Szwajcarii, potem w Berlinie. Do Warszawy wróciła w 1913 r. i szybko znalazła zatrudnienie w Szpitalu Starozakonnych na Czystym (dziś szpital przy ul. Kasprzaka).

Początkowo pracowała na wydziale chorób wewnętrznych, po paru latach została pediatrą. To właśnie najmłodszym mieszkańcom stolicy poświęcała najwięcej uwagi. Była współzałożycielką Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, przy którym założono pierwszą szkołę dla pielęgniarzek pediatrycznych, zainicjowała utworzenie placówki leczniczej dla dzieci z gruźlicą – sanatorium w Miedzeszynie, udzielała konsultacji w wielu warszawskich szkołach, a na darmowe wizyty poświęcała kilka godzin dziennie. Jej życzliwość i empatia sprawiły, że powołano ją do prestiżowej Komisji Etyki Zawodowej Zrzeszenia Lekarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Ponadto przez wiele lat była aktywna politycznie. Już w trakcie studiów wstąpiła do socjalistycznej partii Bund, dążącej do równouprawnienia Żydów. Swoją działalność partyjną kontynuowała w latach międzywojennych. Pełniła też funkcję radnej miasta Warszawy.

Jeszcze przed wybuchem wojny objęła stanowisko lekarza miejscowe-

go w żydowskim Szpitalu Dzieciątym im. Bersohnów i Baumanów (ul. Śliska i Sienna), z którą to placówką związana była najdłużej. Przyczyniła się do jej ponownego otwarcia po gruntownej rozbudowie w 1930 r., została dyrektorem i ordynatorem oddziału niemowlęcego. Od wybuchu wojny dokonywała nadludzkich wysiłków, by utrzymać działalność placówki. W wyniku bombardowania szpital stracił bieżącą wodę. Pracownicy wspominali potem reakcję Hellerowej: „Niemożliwe! Przecież wywieźliśmy chorągiew olbrzymich rozmiarów z czerwonym krzyżem! Operować bez mycia rąk! Kto wyżyje, ten wyżyje!”

Gdy jesienią 1940 r. szpital znalazł się w obrębie getta, Anna Braude-Hellerowa pozostała na stanowisku. Wraz z całym personelem ofiarnie starała się nieść pomoc małym żydowskim pacjentom. Prowadziła też obserwacyjne badania nad tzw. chorobą głodową. Wyniki tej pracy przetrwały do końca wojny i zostały opublikowane w 1946 r. Po rozpoczęciu przez Niemców latem 1942 r. akcji deportacyjnej szpital Bersohnów i Baumanów został przeniesiony wraz z personelem i pacjentami na ul. Gęsią (do tzw. dużego getta). Hellerowej wielokrotnie proponowano możliwość ukrycia się poza gettem – nie chciała jednak z tego skorzystać.

Lekarka zginęła najprawdopodobniej w trakcie toczącego się wiosną 1943 r. powstania w get-

cie. Nieweryfikowalne świadectwa wskazują, że śmierć spotkała ją w budynku szpitala przy ul. Gęsiej, jednak ciała nigdy nie odnaleziono. Jej symboliczny nagrobek znajduje się na cmentarzu żydowskim przy ul. Okopowej. Pośmiertnie została odznaczona Orderem Virtuti Militarii, a w kwietniu 2001 r. upamiętniona tablicą na elewacji dawnego szpitala Bersohnów i Baumanów.

Hellerowa doczekała się dwójki dzieci. Jeden z jej synów zmarł jeszcze w okresie dziecięcym z powodu zapalenia wyrostka robaczkowego. Wkrótce potem, jeszcze przed wojną, zmarł jej mąż Eleazar Heller. Do tego czasu Anna mieszkała w domu przy ul. Leszno 13, a potem przeniosła się do kamienicy przy ul. Szpitalnej. Jej drugi syn również został lekarzem, ożenił się z lekarką, z którą miał dwie córki. Obie wnuczki Anny mieszkają obecnie w Szwecji.

Drugi bohater wystawy Muzeum Getta Warszawskiego Franciszek Paweł Raszeja urodził się w 1896 r. w Chełmnie (wówczas Cesarstwo Niemieckie) jako jedno z pięciorga dzieci Ignacego i Julianny Raszejów. Po wybuchu pierwszej wojny światowej powołano go do armii niemieckiej i wysłano na front wschodni. Dostał się do niewoli rosyjskiej, przebywał w obozie jenieckim w Taszkencie i na Uralu, skąd uciekł dopiero w 1917 r. Rok później rozpoczął w Niemczech studia medyczne.

W 1920 r. powrócił już do odrodzonej Polski i uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej, służąc w oddziale sanitarnym. Studia medyczne wznowił na Uniwersytecie Jagiellońskim, a dwa lata później przeniósł się na Uniwersytet Poznański i to z tym miastem związał swoją karierę zawodową. Szybko został asystentem Kliniki Ortopedycznej Uniwersytetu Poznańskiego, którą kierował wybitny lekarz prof. Ireneusz Wierzejski, nazywany ojcem polskiej ortopedii. Raszeja, tak jak jego mentor, wyspecjalizował się w ortopedii – stał się m.in. bardzo cenionym specjalistą od stawu kolanowego. W 1928 r. znalazł się wśród założycieli Polskiego Towarzystwa Ortopedycznego, którego celem było objęcie właściwą opieką osób niepełnosprawnych po wypadkach czy z chorobami kończyn dolnych. W 1931 r. habilitował się, a pięć lat później uzyskał tytuł profesorski.

Przed wojną Raszeja został dyrektorem Szpitala Ubezpieczalni Społecznej w Śwarzędzu, który dysponował aż 40 łózkami, salą operacyjną i pracownią diagnostyczną. Profesor wprowadził w placówce nowoczesne metody leczenia. Dużą rolę zaczęła odgrywać fizykoterapia. Szpital współpracował z Wydziałem Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego, dzięki czemu pod okiem profesora wyszkoliło się wielu młodych adeptów sztuki lekarskiej.

W latach 30. Raszeja zaangażował się w sprzeciw środowiska wykładowców uniwersyteckich wobec praktyki wprowadzania tzw. getta ławkowego dla żydowskich studentów na uczelniach wyższych. Związek Lekarzy Państwa Polskiego, do którego przynależał niemal każdy lekarz, w 1937 r. wprowadził do statutu zapis, wedle którego członkiem ZLPP mógł zostać tylko „lekarz polski, chrześcijanin z urodzenia”. W tym momencie nastąpił rozłam wewnątrz organizacji a Raszeja wraz z 10 innymi naukowcami Uniwersytetu Poznańskiego podpisał protest.

Wraz z wybuchem wojny Raszeja został ostrzeżony przez zaprzyjaźnionego żydowskiego krawca, że Sowieci planują likwidację szpitala i wywózkę jego pracowników w głąb ZSRR. Profesor wraz z rodziną spakowali się i w nocy dotarli furmanką do Warszawy. Zamieszkali przy ul. Śniadeckich, a potem przy ul. Rozbrat 9. W kolejnych tygodniach profesor został skierowany do pracy w Oddziale Chirurgicznym Szpitala PCK przy ul. Smolnej, gdzie miał pełnić rolę ordynatora. Uruchomił oddział ortopedyczny, który pomimo wojny nie przerwał pracy naukowo-badawczej. Od 1941 r. kierował również Poradnią Gruźlicy Kostno-Stawowej w Ośrodku Zdrowia i Opieki m. Warszawy. Z przychodni tej korzystała głównie uboga ludność. Raszeja udzielał też wielu konsultacji w getcie – utworzył nielegalną sieć krwiodawstwa dla Żydów.

21 lipca 1942 r. udał się w przepustką do getta warszawskiego. Przy ul. Chłodnej miał odwiedzić pacjenta z silnym bólem kręgosłupa (prawdopodobnie był to znany lwowski antykwaryusz). Podczas konsultacji do mieszkania wtargnęli gestapowcy, specjalnie przysłani z Lublina w celu przeprowadzenia w kolejnych dniach akcji deportacyjnej Żydów z getta warszawskiego do obozu zagłady w Treblince. W dniu poprzedzającym rozpoczęcie Wielkiej Akcji wiele osób zabrano z mieszkań. Dotyczyło to głównie inteligencji oraz urzędników na wyższych stanowiskach. Najbardziej ucierpiała tego dnia jedna z ulic elity – Chłodna. Tam na lekarzy urzędowo prawdziwie polowano.

Profesor miał w trakcie akcji operować chorego, a zapytany o to, czy wie, że operuje Żyda, odpowiedzieć, że jest mu wszystko jedno, kto jest pacjentem. Wtedy został zamordowany dwoma strzałami w głowę. Wraz z nim zginął jego pacjent. Profesor został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta (1957 r.). W 2000 r. instytut Jad Waszem uhonorował go tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Wojnę przeżyło nieco ponad 100 lekarzy z getta. O ich trudnej sytuacji i bohaterskiej postawie opowiada wystawa pt. „Zwykli/Niezwykli lekarze w getcie warszawskim – Anna Braude-Hellerowa i Franciszek Raszeja”. Ekspozycja znajduje się na pl. Grzybowskim i będzie prezentowana do 15 lipca.

**TEKST: MONIKA MIŁOSZ  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**

XVIII wiek nie miał – mówiąc najdelikatniej – dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów dobrych planów. Stopniowy upadek państwa, coraz bardziej skorumpowana i uzależniająca się od zewnętrznych wpływów władza, pogłębiający się chaos i niepewność przetrwania, a finalnie trzy rozbiory, które doprowadziły do tego, że ogromne europejskie państwo zniknęło z mapy świata na kolejne 123 lata.

Dzieło Sejmu Wielkiego (nazywanego również Czteroletnim) i uchwalenie Konstytucji 3 maja stanowi niewątpliwie największy sukces panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego – ostatniego władcy Polski. Sejm Wielki obradował w latach 1788–1792 i został zwołany podczas wojny rosyjsko-tureckiej. Oficjalnie zebrał się po to, by podjąć decyzję dotyczącą zawarcia ewentualnego sojuszu Rzeczypospolitej z Rosją. De facto pozostawił po sobie niemały dorobek prawno-ustrojowy. Nałożył między innymi podatki na szlachtę i duchowieństwo, przeprowadził dwie okazałe w swojej rozpiętości reformy – skarbową i wojskową, a także zniósł Radę Nieustającą – organ władzy rządowo-administracyjnej, który został powołany pod naciskiem cesarzowej Rosji Katarzyny II przez Sejm Rozbiorowy w 1775 roku. Zadaniem Rady Nieustającej było przede wszystkim wpływanie na politykę państwa polskiego tak, aby podejmowane decyzje służyły w szczególności Imperium Rosyjskiemu i ograniczały władzę króla oraz szlachty – z tego względu nazywana była często Zdradą Nieustającą.

### Błysk nadziei wśród tragicznych zdarzeń

O ile przywołane reformy Sejmu Czteroletniego nie są raczej powszechnie znane, o tyle uchwalenie przez niego Konstytucji 3 maja już tak. Ustawa Rządowa z 1791 roku była pierwszym aktem prawnym tej rangi w Europie (wyprzedziliśmy Francję o cztery miesiące!) i drugim na świecie, po Konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki. Stanowiła świadectwo wielkiego patriotyzmu i kultury politycznej jej twórców. Jak na tamte czasy odznaczała się nowoczesnością, a głównym celem, który jej przyświecał, było stworzenie prawa likwidującego wady systemu politycznego Rzeczypospolitej Obojga Narodów obecne w nim już od bardzo długiego czasu oraz liczne negatywne skutki tzw. złotej wolności szlacheckiej.

Konstytucja 3 maja wprowadziła w państwie polskim ustrój monarchii konstytucyjnej. Znosiła liberum veto (możliwość zerwania obrad sejmowej przez jednego posła bez konieczności usprawiedliwienia), zakazywała przeprowadzania wolnej elekcji, w duchu postępu i wolności osobistej zapewniała polityczne zrównanie mieszczan oraz szlachty, a tak-



# Testament gasnącej ojczyzny

**Na lekcjach historii z dumą podkreślaliśmy, że Ustawa Rządowa z dnia 3 maja – tak bowiem brzmiała oficjalna nazwa Konstytucji 3 maja – była pierwsza w Europie i druga na świecie. Wielka rewolucja ustrojowa czasów polskiego oświecenia, a jednocześnie ostatnia wola i testament gasnącej ojczyzny – tak mówili o niej uczestnicy tamtych wydarzeń: Hugo Kołłątaj oraz Ignacy Potocki.**

że objęła ochroną państwa chłopów pańszczyźnianych.

### Rewolucja po polsku

Projekt Konstytucji 3 maja został przygotowany poza obradami Sejmu Czteroletniego oraz bez jego wiedzy, a następnie poddany debacie sejmujących stanów z naruszeniem okazałej liczby regulaminowych procedur (zwłaszcza tych, które wymagały wcześniejszego rozkolportowania treści proponowanych aktów prawnych wśród posłów). Pojawienie się projektu w porządku obrad wywołało spore zaskoczenie przeciwników jakichkolwiek zmian i reform ustrojowych, w dodatku część z nich nie zdążyła jeszcze powrócić do Warszawy z przerwy wielkanocnej.

Same obrady zostały bardzo starannie wyreżyserowane przez zwolenników Konstytucji 3 maja pochodzących ze stronnictwa patriotycznego. Na podstawie depeszy polskich przedstawicieli

dyplomatycznych, w których pojawiała się sugestia zagrożenia kolejnym rozbiorem, specjalnie stworzono atmosferę wielkiego i nieuniknionego niebezpieczeństwa ze strony sąsiadów Rzeczypospolitej. Projekt Ustawy Rządowej zaprezentowano posłom w formie jedynego ratunku napisanego przez „dobrych obywateli”, którym zależy na zachowaniu ciągłości państwa polskiego, jego niepodległości i niezależności. Dopuszczono możliwość swobodnego i wielokrotnego wypowiedziania się w trakcie debaty, co w pewnym sensie pozwoliło zachować granice przyzwoitości – jednakże po znacznym nagięciu granic prawa. Cała dyskusja, wraz z uchwaleniem konstytucji, trwała niecałe siedem godzin (od jedenastej rano do szóstej po południu) i zamknęła się w ramach jednej sesji sejmowej odbywającej się we wtorek. Zwolennicy Ustawy Rządowej nie naciskali na pozytywny wynik głosowania,

ale jednocześnie szeroko rozpowszechnili wiadomość o trwających pracach nad konstytucją. Ujawnienie tej informacji wywołało ogromny entuzjazm na ulicach – atmosfera była niezwykle podniosła. Polskie społeczeństwo przeczuwało, że doświadcza być może najbardziej symbolicznego momentu w dziejach Rzeczypospolitej.

Po uchwaleniu nowego prawa zwolennicy konstytucji zadbali o to, aby wszelkie proceduralne formalności, które zostały zlekceważone bądź istotnie nagięte 3 maja, zostały dopełnione już w dwa dni później. 5 maja Deputacja Konstytucyjna – organ powołany specjalnie przez Sejm Czteroletni do prac nad uchwaleniem i wdrożeniem Ustawy Rządowej – przez akklamację przyjęła nowe prawo.

Fakt przyjęcia Ustawy Rządowej wywołał ogromną złość państw rozbiorowych, sąsiadów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w tym zwłaszcza Imperium Rosyj-

skiego, które odczytywało ten akt jako osobisty policzek i chęć zablokowania wpływu cesarzowej Katarzyny II na bieżącą politykę państwa polskiego. W 1792 roku doszło do wojny w obronie konstytucji, podczas której u boku Rosji stanęli członkowie konfederacji targowickiej – magnackiego spisku przeciwników reform Sejmu Wielkiego i Konstytucji 3 maja, który formalnie zawiązał się w nocy z 18 na 19 maja 1792 roku w Targowicy (a w rzeczywistości niemal miesiąc wcześniej w Petersburgu) na wyraźne życzenie Katarzyny II i pod jej protektorem. Tę wojnę strona polska przegrała w chwili, gdy król Stanisław August Poniatowski dołączył do konfederacji targowickiej. W jej wyniku doszło do zajęcia przez wojska rosyjskie wszystkich województw Rzeczypospolitej, zlikwidowania organów władzy powołanych przez Sejm Czteroletni, derogowania konstytucji w listopadzie 1792 roku, a następnie do II i w niedługim czasie III rozbioru Rzeczypospolitej oraz utraty niepodległości przez państwo polskie na 123 lata.

### Symbol o randze światowej

Rozwiązania, które zostały zawarte w Ustawie Rządowej, były prawdziwą rewolucją w ustroju Polski i w umysłach Polaków. Szybko doprowadziły do powstania tzw. mitu o Konstytucji 3 maja – przez rok ustanowione prawo było symbolem odzyskanej suwerenności i dawało nadzieję na jej utrzymanie.

Uchwalenie konstytucji majowej było wydarzeniem o znaczeniu daleko wykraczającym poza granice Rzeczypospolitej, które urosło do rangi symbolu, przypominanego zresztą nawet dzisiaj przy okazji wielu uroczystości państwowych – związanych nie tylko bezpośrednio z samą rocznicą uchwalenia Konstytucji 3 maja. Postulowanie pierwszego Sejmu Ustawodawczego po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, obradującego w latach 1919–1922, podniósł rocznicę jej przyjęcia do rangi święta państwowego. Mało tego – tuż po transformacji ustrojowej w 1989 roku było to jedno ze świąt, które zostało przywrócone jako pierwsze. Znaczenie Konstytucji 3 maja doceniła też Komisja Europejska, która w 2015 roku uhonorowała ją Znakiem Dziedzictwa Europejskiego. To wyróżnienie przyznawane m.in. dokumentom, zabytkom, archiwom lub wydarzeniom, które odegrały szczególną rolę w kształtowaniu historii i kultury Europy lub wniosły kluczowy wkład w rozwój fundamentalnych wartości integracji europejskiej. Ustawa Rządowa z 1791 roku została doceniona jako istotny w dziedzictwie europejskim symbol demokratycznej i pokojowej przemiany politycznej.

**TEKST: ANNA SUSKA  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**



Fot. (mat. pras.)

Urodziny Dumy Bielan

# Hutnik Warszawa obchodzi 65-lecie!

**Hutnik Warszawa pierwszy raz rozgrywkach ligowych wystąpił w 1956 roku, w C klasie Warszawskiego Okręgu Związku Piłki Nożnej (WOZPN), pod nazwą Koło Sportowe ZS Stal Huta Warszawa. Oficjalne jednak powstanie klubu nastąpiło 21 kwietnia 1957 roku. Hutnik nie musiał zaczynać od poziomu C klasy, lecz był kontynuatorem zespołu z 1956 roku. Jego historia od tego momentu trwa do dziś.**

W sobotę 30 kwietnia br. Hutnik rozegrał z okazji swojego 65-lecia mecz z MKS Żąbkovia Żąbki, który solenizant niestety przegrał 1:2. Początki zespołu też nie były łatwe, bowiem w pierwszych latach działalności klub nie posiadał własnych obiektów sportowych. „W najtrudniejszym okresie pomocną dłoń wyciągnęły AZS AWF Warszawa i kierownictwo bielańskich szkół” – informował z okazji dziesięciolecia prezes klubu inż. Edward Kwapienia.

W połowie lat sześćdziesiątych działacze Hutnika podjęli systematyczną pracę z młodzieżą. Początkowo juniorów szkolił były piłkarz Polonii Warszawa Jerzy Grom, a następnie Waldemar Heczko. Szczególne zasługi w szkoleniu trampkarzy i juniorów ma jednak absolwent AWF Mikołaj Korzuń. Jego wychowankowie wystąpili w finale gier o mistrzostwo Warszawy.

Najwcześniej utworzono sekcję piłkarską, a po niej – siatkarską i żeglarską. W połowie lat sześćdziesiątych zdecydowano się powołać sekcję bokserską. Zawodników szkolił Henryk Jańczak. Jego wychowankowie występowali w Gwardii (Edward Dziwisz) i Legii (Władysław Kruk). Na dziesięciolecie klubu, w 1967 roku, opracowano plan budowy obiektów własnych Hutnika. Założono realizację tego zamierzenia w do roku 1975. Ostatecznie w 1978 roku oddano Ośro-

dek Sportowo-Wypoczynkowy, a w 1985 roku stadion. W roku 1988 do użytku klubu i mieszkańców oddano kompleks kortów tenisowych.

Kluczową sekcją klubu była piłka nożna. Wśród dat tworzących historię należy wymienić pierwszy awans do III ligi w 1965

roku, pierwszy awans do II ligi w 1983 roku, drugi awans do II ligi w 1986 roku, trzeci awans do II ligi w 1990 roku, czwarty awans do II ligi w 1992 roku. Za największe sukcesy klubu uznaje się wicemistrzostwo Polski juniorów z 1987 roku i finał z Lechem Poznań (przegrany 1:1 i 1:2). W 2008

roku Hutnik zdobył Puchar Polski na szczelnie mazowieckim, pokonując w finale Legię II Warszawa 1:0.

Spotkanie z Żąbkovią z 65-lecia rozegrane zostało na zmodernizowanym obiekcie sportowo-rekreacyjnym, którego uroczyste otwarcie odbyło się w 2021 roku. Przypomnijmy, że nowy Ośrodek Hutnik jest jedną z największych inwestycji sportowych w Warszawie w ostatnich latach. Koszt jej realizacji wyniósł 48 milionów złotych. Przy Marymonckiej 42 powstały trzy nowe boiska piłkarskie – w tym główne, umożliwiające rozgrywki III ligi piłki nożnej, z nawierzchnią z trawy naturalnej, które posiada system nawadniania oraz podgrzewania płyty boiska oraz zadaszone trybuny na 1390 miejsc. Na terenie obiektu znajdują się również cztery korty tenisowe z nawierzchnią z mączki ceglanej. Duma Bielan może być faktycznie dumna z posiadanej infrastruktury.

Dzięki temu klub jest obecnie wielosekcyjny. W jego ramach działa sekcja piłkarska seniorów występująca obecnie w rozgrywkach IV ligi (piaty poziom rozgrywek). Klub posiada również sekcje siatkówki, crossmintona oraz rekreacyjną. Z uwagi na swoją lokalizację nazywany jest Dumą Bielan, a kto wie, czy z czasem nie będzie nazwany Dumą Warszawy, czego z okazji jubileuszu życzymy!

(MAT. PRAS.)





# Niedyskretna Egeria

**A przy tym zaklinaczka czasu i stenografka uczuć. Jedna z dziedzin sztuk pięknych. Wyraża niewypowiedziane, choć jest uniwersalnym językiem ludzkości. Muzyka. Tekstem o niej wypełniam majowe strony poświęcone kulturze, by przypomnieć unikatową ścieżkę dźwiękową miasta. Na wiosnę i niewiosnę, to się jeszcze okaże – niech wybrzmiewają dźwięki albumu „Wisła Skarbów”.**

Zatracić się. Jak podaje „Słownik języka polskiego” PWN, czasownik ten ma trzy definicje: 1. «przestać się w coś i stracić poczucie rzeczywistości», 2. «zaangażować się w coś i stracić poczucie rzeczywistości», 3. «przestać istnieć». Jeśli połączyć go z rzeczownikiem „muzyka”, każda z tych definicji odkrywa o niej pewną prawdę. Zatracić się w muzyce. Bardzo trafna kombinacja, o której pomyślałam od razu, gdy tematem rozmyślań uczyniłam muzykę, a że dużą wagą obdarzam słowa, czasownik ten przyszedł na myśl jako pierwszy.

Zatracić się w muzyce. Mnie zdarza się to nałogowo. I jestem pewna, że nie tylko mnie. Bo kto choć raz nie uległ dźwiękom swojego ulubionego utworu, tracąc tym samym poczucie rzeczywistości, orientacji w czasie i przestrzeni? Muzyka angażuje myśli, oddziałuje na fizjologię i psychikę, a przede wszystkim jest kanałem, który dostarcza rozmaitych przeżyć emocjonalnych. Zaklina czas w tym sensie, że przywołuje wspomnienia, odgrzebuje w pamięci zdarzenia, ludzi i miejsca. Pozwala doświadczyć wspomnień, bo przecież towarzyszy niezliczonym sytuacjom naszego życia. Do trzeciej definicji trzeba podejść na poziomie transcendentnym, bo istnieć przestajemy na tyle, na ile sami świadomie poddajemy się działaniu muzyki. I jest to słuszne, bo robimy to często i wielokrotnie świadomie. Zatracać się w muzyce, odcinamy się od bodźców, a dźwiękom pozwalamy płynąć w nas. Tym samym odbywamy lot w wyobraźnię i sami stajemy się dźwiękiem.

## Lek na całe zło

Zalety muzyki możemy mnożyć, od tych najbardziej prozaicznych, jak wpływ na poprawę naszego nastroju czy delektowanie się ulubionymi dźwiękami, po takie, o których istnieniu dowiadujemy się dopiero z publikacji naukowych lub badań medycznych poświęconych oddziaływaniu muzyki. Wpływa ona na układ krwionośny i oddechowy, a także aktywuje układ nerwowy w zależności od jej tempa i rytmu. Wspomaga wydzielanie serotoniny,

dopaminy i epinefryny. Przywraca prawidłowy poziom kortyzolu (hormonu stresu), a także – jak dowiedli badacze z Icahn School of Medicine – dociera do naszego mózgu, wywołując reakcje chemiczne, które zakłócają odbiór bodźców bólowych. Kojące melodie wywołają nawet stan medytacyjny. Ponadto muzyka rozwija wyobraźnię i pozytywnie wpływa na procesy poznawcze. Wykorzystywana jest w terapii osób z zaburzeniami poznawczo-behawioralnymi i pacjentów z chorobą Parkinsona. Wiosiek nasuwa się sam: muzyka jest lekiem na całe zło.

Rozważania medyczne zostawiam jednak znawcom tematu, a sama skupię się na podróżach, w które dzięki muzyce wybywam notorycznie. Podróże w dźwięki to przede wszystkim wojaże w odczucia, pragnienia, emocje. W głąb siebie. Doświadczać świata brzmieniami to znaczy odkrywać przed sobą swoje najtajniejsze myśli. Do głosu dochodzą te, które ukryć chcemy w najciemniejszych zakamarkach naszego umysłu. Dlatego muzyka nazywana jest niedyskretną Egerią – powierniczką, która demaskuje nasze myśli bez reszty. Tutaj kluczową rolę odgrywa także wyobraźnia. Bo ileż za sprawą niej się dzieje! Kilka tygodni temu usłyszałam o niej słów kilka w intro do jednego z utworów, i zachwyciło mnie to, co zostało powiedziane. „Gdy tylko przychodzimy na świat, najlepiej się od niego oderwać i zacząć podróż. Ta, gdy płynie z wnętrza, uruchamia wyobraźnię, a wyobraźnia to ogień. (...) Gdy patrzymy w głąb, to jakbyśmy patrzyli w piekło. Paradoksalnie to mrok wskazuje światło i noc szybciej mija. Wielu boi się otchłani, ale tak naprawdę to wolność, nietykliwość i siła. Wystarczy zamknąć oczy i tam się znajdujemy. Po drugiej stronie życia” (Intro – Forza, Tuzza).

## Wojaże

Chyba właśnie odkryłam, kiedy oderwałam się od świata i zaczęłam podróż. Nie był to z pewnością moment mojego przyścia na świat, ale pokomunijny tydzień, w którym z wielką ekscytacją nabyłam swój pierwszy radioodtwarzacz marki Grundig. Jakimś cudem pierwsze płyty, które wpadły w moje ręce, miały utwory Anny Jantar, Ireny Jarockiej i Haliny Frąckowiak. Jak dziś pamiętam małą dziewczynkę, która stoi przed szafą z lustrem i śpiewa „Motylem jestem”. Szybko nauczyłam się bogatego repertuaru, a później śniąc dziecięcy sen o byciu piosenkarką, raczyłam moją rodzinę swoimi występami. Wtedy za sprawą wyobraźni tyle się działo. Dziś też się dzieje, ale dziecięcej wyobraźni ciężko dorównać. Trwało to mniej więcej całą szkołę podstawową. Później był Maanam i polski rock. Następnie Jacek Kaczmarski i Przemysław Gintrowski, na zmianę z polskim hip-hopem i rapem. Później hardcorowy rock, heavy metal i muzyka klasyczna. A dziś? Dziś jest wszystkiego po trochu, bo rozumiem swoje emocje i wiem, że muzyka jest mi potrzebna na smutek i radość, czasem na wściekłość. Jest zbawienna na poranek i na wieczór. I na długi spacer.

## Skarby

„Co z tobą, mała, wyglądasz całkiem nie ta sama” – wybrzmiało i od tamtej pory wybrzmiewa podczas spacerów dość często. Właściwie cały album nierzadko dostrzymuje mi towarzystwa. „Wisła Skarbów” to genialna uczta muzyczna, która odzwierciedla melodie Warszawy. Album jest muzyczną panoramą miasta. Nagrany przez Tomasza Stempniewicza, powstał we współpracy z Muzeum Powstania Warszawskiego. Składa się z jedenastu utworów łączących współczesną elektronikę z klasyką polskiej muzyki rozrywkowej.

jedenastu utworów łączących współczesną elektronikę z klasyką polskiej muzyki rozrywkowej. – Siegałam po klasyki polskiej muzyki, które potem samplowałam, ale chciałam, żeby ten projekt nie zamykał się tylko na niej. Siegnęłam do kina i kolekcji muzyki filmowej, ale nie tylko – mówił artysta w audycji Programu Czwartego Polskiego Radia. Składową dźwiękowej pocztówki miasta były też sygnały z tramwajów, warkot silników i gwar przechodniów. To spójna opowieść, która dźwiękami opisuje Warszawę współczesną, ale i dawną.

Podróż zaczyna się od kojącego „Przebudzenia”, na którym wybrzmiewają słowa Agaty Budzyńskiej, polskiej poetki i kompozytorki, dla której przeżywanie życia było codziennym świadomym aktem i która, podobnie jak Halina Poświatowska, żyła tak, jakby każdy jej dzień był ostatnim. Te kojące brzmienia płynnie przenoszą do utworu „Co z tobą, mała”. Tu z kolei wybrzmiewa autorski kawałek Ireny Santor, ale akustycznie odświeżony. Można się rozpląnąć i zapamiętać na zawsze, że „życie jak alkohol wchodzi w krew i warto je używać nałogowo”. A przy tym jak Krystyna Konarska śpiewać, że przecież „jest tyle różnych szczęść”. Są też słowa z piosenki Wandy Warszawskiej do tekstu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Już kocham cię tyle lat”. To przepiękna opowieść podana w wersji współczesnej. Czytam ten wiersz dźwiękami utworu. Melodia tych słów odgrzebuje piękne wspomnienia i znów zaklinam czas. Czy z tą podróżą to wszystko prawda? Tak. To przesłanie niosą ze sobą brzmienia „Voyage, voyage, voyage”. Muzyczną podróż kończy utwór, który jest elektronicznym przekładem „Warszawy” Davida Bowiego. Aż smutno, że się kończy. Na szczęście zawsze można odbyć tę podróż jeszcze raz. Przynam, że z utęsknieniem czekam, aż Warszawa skąpana będzie w słońcu, by ze słuchawkami w uszach i promieniami na twarzy przysiąść z kawą na kawiarnianym krzeselku i w samotnym zaludnieniu zatracić się raz jeszcze.

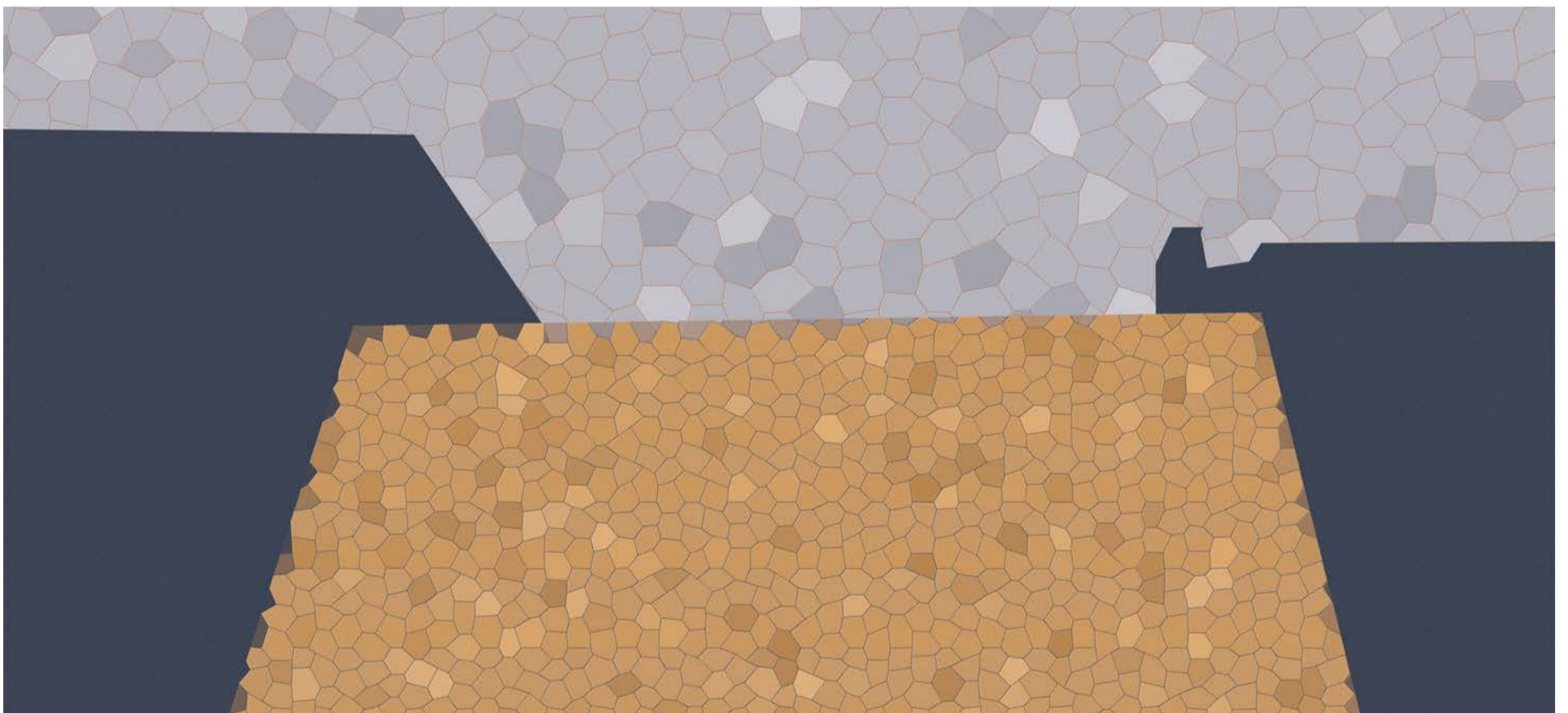
TEKST: OKTAWIA WRZESIEŃ  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

WE ARE ONE PEOPLE: TRZMIELE, NĘCZYNY, SAMOTKI, PSZCZOLINKI, SMUKLIKI

# Pasiaki w pasiekach

Pszczoły zapylają tak, że mucha nie siada. W Krakowie jest przedszkole Pracowite Pszczółki, widziałem też grę zręcznościową pod tym tytułem, a w piosence dla dzieci słyszałem, że wycierają czułki. DreamWorks wypuścił w 2007 roku „Bee movie” o pracowitej pszczołce z korporacji Honex, która toczy batalię sądową przeciwko ludzkości, zarzucając człowiekowi wyzysk swojego gatunku. Po tym, czego dowiedziałem się zbierając materiały do tego felietonu, chciałbym puścić ten film na wielkim ekranie w kalifornijskich sadach migdałowych. I to koniecznie w marcu, bo wtedy kwitną migdałowce, a z całej Ameryki Północnej zwozi się tam ciężarówkami około 30 miliardów pszczoł, żeby zapylały. Około 30 miliardów pszczoły miodnej – jednego z gatunków pszczoł, których w Polsce jest prawie 500. Znaczna większość to gatunki dzikie, które nie mieszkają w ulach. A ule rosną w Warszawie jak grzyby po deszczu. Czy to dobrze? Średnio.

A dlaczego? Odpowiedź poniżej.



W Warszawie może być nawet kilka milionów pszczoł. To prawdziwa armia i tak jak niektóre armie świata na apelu ustawia się w rzędy. Rząd błonkówki, podrząd stylikówki, infrarząd żądłówki. Mięsożernymi żądłówkami są osy, a największymi osami są szerszenie. Węgańskimi żądłówkami są pszczoły. Hodowlaną pszczołą jest pszczoła miodna, znana z książek, filmów, bajek i dobrego pijaru. Pszczoła miodna cieszy się największą sławą wśród kuzynów do tego stopnia, że praktycznie zawłaszczyła wspólne dla 500 gatunków imię pszczoły dla siebie.

## Leżakowanie na dachu hotelu

Jarosław Chołodecki, właściciel hotelu Chopin przy ulicy Smolnej w Warszawie, od blisko dziesięciu lat hoduje na dachu pszczoły. Wchodzimy tam o zachodzie słońca, widok jest bajeczny. Część uli jest wolnostojąca, część wbudowana w gmach hotelu. – Ten rodzaj ula nazywa się leżaki wielkopolskie. Zwykle, gdy

pszczoł przybywa, dobudowuje się w pionie kolejne piętra, a przy leżakach – dostawia kolejne ramki w poziomie – mówi Chołodecki. – Ich unikalność polega na tym, że są częścią budynku. Pszczoły żyją wśród nas dosłownie, a nie tylko w przenośni.

Na poddaszu hotelu jest kabina apiterapeutyczna. Dwie kozetki, pomarańczowe światło, a zza okrągłych kratek wstawionych w drewniane ściany słychać ciche brzęczenie. – Żyje tu pszczela rodzina. Wylatują sobie na zewnątrz, ale tutaj pozostawiają całą aurę, czyli to, co odparowuje, gdy znoszą nektar. A wraz z wodą ulatują wszystkie substancje eteryczne znajdujące się w nektarze. Normalnie poleciałoby to do nieba, a tak – możemy się tym inhalować. W kabinie jest nie tylko wyjątkowy zapach i aromat. Dźwięk wachlowania pszczelich skrzydeł to muzyka dla naszego mózgu. To wszystko powoduje, że nie chce się stąd wychodzić – podkreśla właściciel hotelu.

– Tam są ich tereny łowne – pokazuje w stronę Wisły i dodaje: – Jest tu dużo lip i akacji. Żyje tu odmiana pszczoły zwana karpatką. Zwykle jest tak, że jeżeli pszczoła jest agresywna i nie lubi obecności ssaków, to jest też bardzo efektywna w zapylaniu. A karpotka to taka wyjątkowa odmiana, że jest i pracowita, i mało agresywna. One żądają głównie mnie, bo czasem, gdy się nimi zajmuję, zdarza mi się którąś przypadkowo przycisnąć. Ona się broni i oddaje za to życie. One chcą po prostu załatwić swoje sprawy: dolecieć do kwiatka, zebrać co trzeba i wrócić nakarmić larwy.

## WE are one people: trzmiele, nęczyiny, samotki, pszczolinki, smukliki

Profesor Marcin Zych jest dyrektorem Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Naukowo zajmuje się ochroną różnorodności biologicznej i owadami zapyla-

czami. Jak mówi, „w mieście nie ma dzikich pszczoł miodnych, są co najwyżej te zdziczałe. – To nie jest naturalny gatunek, który występuje dziko w Polsce i Europie. Pszczoła miodna to jest gatunek hodowlany. W Polsce do kategorii pszczoł zalicza się prawie 500 gatunków. Nie widziałem, żeby były dokładne badania co do Warszawy, ale sądzę, że połowę z nich można tu spotkać – stwierdza Zych. Dla porównania – wszystkich gatunków ptaków w Polsce jest mniej niż gatunków pszczoł, bo około 450.

Chociażby trzmiel jest pełnoprawną pszczołą, a w kwestii zapylania roślin bardziej wykwalifikowaną niż pszczoła miodna. – Trzmiele to są takie betonowe zwierzątka, które potrafią zapylać nawet przy temperaturze bliskiej zera – mówi profesor Zych. – Robią też miód, aczkolwiek nie polecałbym go do jedzenia, bo jest niesmaczny i często z roślin trujących dla człowieka – przestrzega. Zaznacza też, że pszczoły zazwyczaj kojarzą nam się z ulami, chociaż dzikie gatunki są napraw-



dę kreatywnymi osadnikami. – Wbrew pozorom większość pszczół jest inna niż te miodne. Są to zwykle pszczoły samotne, które nie tworzą wielkich rodzin. Niektóre gniazdują się w drewnie, inne w ziemi, wykorzystując istniejące norki po dżdżownicach lub kretach, niektóre zaś same drążą w ziemi. Inne wykorzystują rośliny, suche źdźbła traw i trzciny.

W parku Olszyna na Bielanach żyją smukliki złotawe. Nie przekraczają centymetra długości, mieszczą się na ludzkim paznokciu. Wyglądają jak opiłki metalu pokryte zielonkawymi włoskami. Do gniazd smuklików podrzuca swoje jaja nęciny czerwono-brzuch. Żyją tam też pszczolinki, które budują swoje gniazda w ziemi. Są też „pszczoły z maską”, czyli samotki, czarno-białe jak Zorro. W parku Olszyna zaobserwowano też „pszczelego wilka”, który poluje na pszczoły, wstrzykuje im jad, po czym taszczy je do wykopanej w ziemi nory.

Jak podkreśla profesor Zych, ważne, by świat pszczeli był nie tylko liczny, ale i różnorodny. – Wiele dzikich gatunków owadów jest wyspecjalizowanych w zakresie zapylania konkretnych roślin – tłumaczy. – Oznacza to, że jeżeli pojawia się jakikolwiek czynnik zagrażający tym gatunkom, to powinniśmy się martwić. Takim czynnikiem jest na przykład konkurencja ze strony owadów hodowlanych. A czymże jest taka pszczoła miodna, jeżeli nie konkurentem? Przykładowo – ludzie lubią żubry. Każdy chciałby je zobaczyć, podejrzeć. Gdybyśmy tworzyli w danym lesie program ochrony żubrów, to czy wstawilibyśmy tam stado krów?

## Pszczoły zapylały, a ja mam migdały

Kiedy byłem mały, babcia śpiewała mi kołysankę o pszczołkach, które wyleciały z zielonego ula, a potem wróciły do niego spać. Może któreś z nich – skoro w roju może być ich do 70 tysięcy – przysnił się amerykański sen, po którym obudziła się złana potem.

W tradycji chrześcijańskiej kształt migdału miała aureola okalająca wizerunki Matki Boskiej. Migdał był symbolem dziewictwa. Nachodzące na siebie dwa koła również tworzą pole w kształcie migdału, co symbolizowało pośrednictwo między dwoma światami – ludzkim i boskim. Dziś migdał stoi pomiędzy światem ludzkim a pszczelim.

Ponad 80 procent migdałów na całym świecie pochodzi z Doliny Kalifornijskiej. Gaje migdałowe rozciągają się tam na około sześciu tysiącach kilometrów kwadratowych. To poleca terenu większa niż cała Warszawa z przylegającymi powiatami – od Otwocka do Nowego Dworu Mazowieckiego, od Grodziska Mazowieckiego po Tłuszcz. Kalifornijskie gaje migdałowe są piękne, pełne różowych kwiatów, ale czy dziewicze?

Co roku z całej Ameryki Północnej przewozi się tirami do Kalifornii blisko 30 miliardów pszczół. Owady w pasiakach zapylają, żeby powstało kilkaset miliardów migdałów. Jest ich tyle, że zbiera się je odkurzaczami, po czym wyruszają w świat. Możemy je znaleźć zapakowane w plastikową torebkę w każdej Żabce, wypić z filiżanki w modnych kawiarniach albo zjeść w czekoladzie sprzedawanej w marymonckim barze Potok.

– Jestem przerażony procesem produkcji migdałów – mówi Jarosław Chołodecki. – Ja na przykład migdałów nie jem, wie Pan dlaczego? Do wyprodukowania jednego migdału potrzebny jest jeden galon wody [galon amerykański – ok. 4 litrów], a do zapylenia gajów migdałowych w Kalifornii potrzebne są wszystkie pszczoły Ameryki. Pasieczniki stawiają miliony uli po to, żeby jednej nocy te ule zabrać i przewieźć w inne miejsca na terenie



Carlo Crivelli, „Widzenie błogostawionego Gabriela”, ok. 1489 [detal]

Stanów Zjednoczonych i Kanady – bo kanadyjskie pszczoły też zapylają migdałowce. Dlaczego w ciągu jednej nocy muszą zjechać? Bo zaraz potem następuje oprysk migdałowców, który by te pszczoły zabił.

Zarówno Jarosław Chołodecki, jak i profesor Marcin Zych podkreślają, że w Stanach Zjednoczonych pszczoły nie służą do robienia miodu, ale do zapylania. – Pszczelarze w stacjach zarabiają najwięcej nie na miodzie, lecz wynajmowaniu swoich pszczół jako zapylaczy. Tam jest cały szlak migracji uli: na wiosnę pszczoły jadą na wielkich tirach do gajów mi-

gdałowych w Kalifornii. Tam nie ma żadnego życia, więc jak się tam nie dowiezie pszczół, to migdałów po prostu nie będzie. Dwa tygodnie eldorado, migdałowce kwitną, a potem zostaje pustynia. Zaczynają podróż od Kalifornii, a kończą na kwitnieniu borówek w Nowym Brunzwicku w Kanadzie – opowiada profesor. – Miód sprowadza się do Ameryki z całego świata, bo jest dużo hodowców takich jak w Polsce. Polska jest największym na świecie producentem inseminowanych pszczelich matek, które powodują, że rodzina się bez przerwy odtwarza. To jest polska pracowitość,

**Coraz więcej badań wskazuje na to, że hodowlana pszczoła miodna może stanowić zagrożenie dla rodzimych gatunków dzikich pszczół. Dzikie pszczoły, z których większość to gatunki samotne, przegrywają w konkurencji o pokarm z wielotysięcznymi rodzinami pszczoły miodnej.**

polski spryt, jak też bez wątpienia innowacyjność, bo pszczoły na świecie umierają w zawrotnym tempie.

## Miód – efekt uboczny

Komercyjny kierat z Kalifornii i środowisko opierają się dokładnie na tym samym filarze. Pszczoły zapylają dla koncernów sprzedających migdały i dla dobra ekosystemu. Profesor Zych zaznacza, że z punktu widzenia środowiska najważniejszym zadaniem pszczoły nie jest wcale produkcja miodu, lecz zapylanie roślin: – Tak naprawdę miód to jest tylko dodatek do tego, co pszczoła robi. Nam zależy na miodzie, ale dużo bardziej powinno nam zależeć na stabilności sieci zapyleń – i na wsi, i w mieście. Pszczoła miodna stanowi groźną konkurencję dla dzikich gatunków. Paradoksalnie w mieście jest nieraz dużo większe zagęszczenie uli niż gdziekolwiek indziej, bo taka jest moda.

Tak rozumował Kubuś Puchatek: „Jeżeli słyszę bzykanie, to znaczy, że ktoś bzyka, a jedyny powód bzykania, jaki ja znam, to ten, że się jest pszczołą”. Potem znów pomyślał dłuższą chwilę i powiedział: „A jedyny powód, żeby być pszczołą, to ten, żeby robić miód. A jedyny powód robienia miodu to ten, że bym ja go jadł”. Mam wrażenie, że często kombinujemy podobnie do Kubusia Puchatka – przynajmniej w kwestii powodów do bycia pszczołą.

## Miejskie pasiaki kontra dzikie pszczoły

W zeszłym roku miasto Gdańsk zapowiedziało akcję „Gdańskie ule”. Stawianie pszczelich domów miało pomóc pasiakom owadom zagrożonym wyginieciem. Na wieść o takim pomysle kilkudziesięciu naukowców z całej Polski – w tym profesor Zych – napisało do prezydenta Gdańska list. „Coraz więcej badań wskazuje na to, że hodowlana pszczoła miodna może stanowić zagrożenie dla rodzimych gatunków dzikich pszczół. Dzikie pszczoły, z których większość to gatunki samotne, przegrywają w konkurencji o pokarm z wielotysięcznymi rodzinami pszczoły miodnej i mogą ustępować z miejsc, w których jest ona hodowana w dużych zagęszczeniach. W miastach różnorodność dzikich pszczół może być bardzo duża, porównywalna z tą na obszarach chronionych, co pokazują badania zarówno z Polski, jak i zagranicą. Zwiększenie populacji pszczoły miodnej w Gdańsku może doprowadzić do wypierania innych gatunków pszczół, które żyją na terenie miasta” – czytamy. Naukowcy zaproponowali wiele rozwiązań na rzecz pszczół, takich jak pozostawianie im nieskoszonych trawników, materiałów na gniazdo w postaci martwego drewna lub suchych roślinnych łodyg, absolutnego odrzucenia pestycydów przy pielęgnacji miejskich rabat oraz szkoleń dla pszczelarzy-amatorów.

## „Chcemy być mili”

Profesor Zych kwituje modę na stawianie uli w miastach następująco: – Chcemy być mili dla środowiska. Wydaje nam się, że robimy coś dobrego, ale nasze działania nie zawsze są oparte o dane naukowe. Podobnie jak z ekologicznymi samochodami: gdyby policzyć całociowo koszt wyprodukowania takiej maszyny, to często jest on dla środowiska większy niż w przypadku diesla.

– Więc jak ja mogę pomóc dzikim pszczołom? – pytam profesora. – Sadzić kwiatki – odpowiada z uśmiechem – i to najlepiej te rodzime.

TEKST I ILUSTRACJA: FILIP JEGLIŃSKI

# Za garść ciastek z miodem

Ten tekst zrodził się z miłości do amerykańskiej prerii, chmurnego spojrzenia Clinta Eastwooda i gęstej atmosfery zadymionych saloonów na zapomnianych przez Boga rubieżach Dzikiego Zachodu. Jeżeli słowo „western” przyprawia cię o dreszcze, możesz przewrócić stronę – albo dać szansę pewnej nieoczywistej filmowej opowieści o słodkich wypiekach, przyjaźni i pierwszej krowie w Oregonie.



Kiedy wódz Apaczów Winnetou umierał po raz pierwszy, miałam kilka lat i schowałam się w łazience, żeby nikt nie widział, jak płaczę. Literacki świat stworzony przez Karola Maya i jego kolegów po fachu, do którego zaprosili mnie rodzice, zapierająca dech dziewczica Ameryka zaludniona przez Indian, traperów, poszukiwaczy przygód i łotrów wszelkiej maści, była wtedy dla mnie wszystkim i czymś jeszcze więcej.

Później trochę podrosłam i pokochałam kino, a z nim – nie było innej możliwości – na śmierć i życie pokochałam też westerny. „Westerny? Strata czasu” – być może prychacie właśnie pod nosem, wspominając sobotnie popołudnia, w których zapach rosołu mieszał się z wonią prochu z rewolwerów Johna Wayne’a. Tak, westerny. A że święta bez dobrego seansu to wszak czas zmarnowany, pewnego wielkanocnego dnia zasiadłam na swojej mokotowskiej kanapie z kubkiem herbaty w ręce i włączyłam z dawną planowaną „Pierwszą krowę”.

Nie mogłam wybrać lepiej.

## Samotny piekarz

Wyobraźmy sobie klasycznego bohatera Dzikiego Zachodu, milczącego osobnika w przykurzonym kapeluszu, który bez mrugnienia okiem kładzie przeciwników jednym strzałem i odjeżdża samotnie w kierunku zachodzącego słońca. A potem nakręcimy film o kimś zupełnie innym. Na przykład o chło-

paku, który rozmawia ze zwierzętami i wędruje po Ameryce z ciepłym uśmiechem i marzeniem o własnej piekarni schowanym na dnie serca. Taki właśnie jest Cookie (w tej roli John Magaro), główny bohater obrazu amerykańskiej reżyserki Kelly Reichardt. A jego postać to dopiero pierwszy z wielu elementów, które w tym (anty)westernie ułożono zupełnie na opak.

## Sny o ciastkach

Reichardt bierze na warsztat topos amerykańskiego snu, obudowując go scenariem XIX-wiecznego Oregonu. W 1820 roku, jak mówi jeden z bohaterów, do tego kawałka Ameryki „historia wciąż jeszcze nie dotarła”. Ledwie dekadę wcześniej u ujścia rzeki Kolumbia założono tutaj pierwsze stałe osiedle, Fort Astoria; zresztą i dzisiaj stan należy do najmniej zaludnionych. Snucie fantazji o wypiekach pośrodku głuszy, w osadzie składającej się z kilkunastu skleconych z desek szop, lokalnej mordowni, placu handlowego i domu naczelnika zakrawa na szaleństwo, ale tylko z pozorów. Bo gdy naczelnik faktorii, budząc powszechną sensację, sprowadza pierwszą w regionie mleczną krowę, do Cookiego i jego chińskiego przyjaciela King-Lu (Orion Lee) wreszcie uśmiecha się los. Półlegalna produkcja smakołyków na bazie podkradanego nocami mleka przynosi nadszpiegowane zyski, interes kręci się znakomicie – do czasu, gdy wieść o ciastkach dociera do najwyższej posta-

wionych uszu, a przedsiębiorcom zaczyna się palić grunt pod nogami.

## Ty druha we mnie masz

Cookie i King-Lu, Żyd i Chińczyk wrzuceni w środek wielkiego procesu tworzenia się Stanów Zjednoczonych, zawiązują bodaj najdziwniejszą przyjaźń w historii portretowania Dzikiego Zachodu. Gdy spotykają się po raz pierwszy, King-Lu kryje się w lesie nagi i wyczerpany po tym, jak napadnięto go i obdarto ze wszystkiego, co posiadał. Przy kolejnej okazji jest już właścicielem własnej chaty i tym razem to on wyciąga rękę do zagubionego chłopaka. Obaj są wyrzutkami, dyskryminowanymi ze względu na swój charakter i pochodzenie w świecie, który rządzi się twardymi zasadami. Łącząc talent Cookiego z ambicją i obrotnością King-Lu, razem próbują wykuć dla siebie nowy los. Czy odnoszą sukces? Tego się tutaj nie dowiedziecie. Ale na pewno znajdują po drodze towarzysza na dobre, złe i najgorsze.

## Smak Londynu

Jakby buntując się przeciw prawidłom gatunku, reżyserka „Pierwszej krowy” tworzy obraz wyjątkowy i czuły. Nie pomija istotnych kwestii społecznych, lecz także nie stara się ich eksponować. O przemocy, nierówności, represjach wobec rdzennej ludności czytamy pomiędzy wierszami. Reichardt zrywa także z tradycyjnym dualizmem, jasnym

podziałem na dobrych i złych. Portretuje po prostu ludzi, z ich słabościami, lękami i tęsknotą. Ta tęsknota, nostalgia zaklęta w ciastkach Cookiego jak w proustowskiej magdalenke, przenika zresztą cały obraz i dotyka każdego bohatera z osobna. – Wielkie nieba, co w nich jest? Smakują jak wypieki mojej mamy – wzdycha siwowłosa myśliwa, któremu lekką ręką dałabym siedemdziesiąt wiośen. – Czuję w nich Londyn – wtóruje mu ze wzruszeniem naczelnik faktorii.

## Kilka słów o magii

Na poły dziecięce, ujmujące przekonanie, że słodczyce i dobra kuchnia mogą mieć moc odmienniania losu, łączy film Reichardt z dwoma innymi, które również bardzo cenię. Mowa o „Uczcie Babette” w reżyserii Gabriela Axela i „Czekoladzie” Lassego Hallströma. Twórcy tkają w nich światy z pogranicza baśni i realizmu, wplatając w nie nic pojawiających się znikąd tajemniczych przybyszów, którzy mącą panujący spokój.

W „Pierwszej krowie” nie znajdziemy wątków fantastycznych. Niezwykłość i poetyckość (cechy nieczęsto spotykane w obrazach z Dzikiego Zachodu, pomijając wyjątki, jak „Slow West” czy „Zabójstwo Jesse’ego Jamesa przez tchórzliwego Roberta Forda”) kryją się w szczegółach. Baśniowa jest soczysta kolorystyka natury wybuchającej życiem wokół bohaterów, prezentowana w długich, niespiesznych ujęciach Christophera Blauvelta. Baśniowa jest również absurdalna w gruncie rzeczy fabuła. Sam Cookie, lojalny, obdarzony kulinarnymi talentami miłośnik przyrody i spokoju, ma w sobie coś z tolkienowskiego hobbita Samwise’a Gamgee’ego.

Co wyjątkowe, Kelly Reichardt poświęca dużo miejsca sportretowaniu bohaterów budujących tło opowieści – i niepozabawionych zresztą baśniowego groteskowego rysu. Traperzy w futrzanych czapach przepychający się niecierpliwie w kolejce po ciastka, chłopak opiekujący się pisklęciem, indiańskie niemowlę... Kierując na nich światło kamery, reżyserka kreuje wielowarstwową rzeczywistość, która istnieje i rozwija się, i będzie trwać niezależnie od losów pierwszoplanowych postaci. Kreuje świat, któremu wierzę.

## Jeszcze nie

Ciastka, uroczy zwierzak (w tej roli, jak mogłabym zapomnieć, pięknooka Eve) i malowniczy portret nietkniętej ludzką ręką Ameryki – nawet one nie uratowałyby „Pierwszej krowy”, gdyby zabrakło w niej najważniejszego: treści. Tej jednak nie brakuje. Czerpiąc z bogatej mitologii Dzikiego Zachodu i odrzucając z niej to, co spranne i przebrzmiałe, Kelly Reichardt buduje autorską, ciepłą, szczerą i świeżą opowieść o przyjaźni i kilku innych ważnych rzeczach. Western is not dead. Jeszcze nie.

TEKST: KAMILA SNOPEK  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK

24 lutego, godzina 8.30.  
Dzwoni budzik.  
Kolejny zwykły dzień.  
Wstaję z łóżka,  
włączam czajnik  
z wodą, zaparzam sobie  
kawę. Szybka poranna  
toaleta i znowu  
zerkam na zegarek  
– 8.50. Mam jeszcze  
dziesięć minut, zanim  
rozpocznę pracę.  
Sięgam po telefon  
i piszę do koleżanki,  
bo miałyśmy iść dzisiaj  
razem na siłownię.  
Dobrze, jesteście umówione.  
To może jeszcze szybkie  
przejrzenie wiadomości  
w internecie.  
Wchodzę, czytam  
i już wiem, że ten dzień  
nie będzie taki jak zawsze.



## Gdzie jest granica pomocy?

Siedzę wieczorem w domu. Czekam na przyjaciela. Mamy iść coś zjeść, oderwać na chwilę głowę od tego, co dzieje się obok. Nagle dzwoni telefon. Moja znajoma z siłowni. – Martyna, brakuje nam ludzi. Zbieramy rzeczy dla osób z Ukrainy. Musimy wszystko przeliczyć i popakować. Jest nas tylko piątka. Pracy może być na całą noc. Pomocicie? – pyta. No pewnie, że pomożemy. Wsiadamy w samochód i jedziemy. Na miejscu jesteśmy po około godzinie. Wchodzimy do środka. Tłum ludzi krząta się po hali. – Pampersy! Czy macie pudełko z pampersami? – ktoś krzyczy. – Wszystkie leki proszę do mnie! Tam zbieramy tylko jedzenie – woła inna osoba. – Przecież miała być was tylko piątka – mówię zdziwiona do koleżanki. – Tak, ale ktoś wstawił post na Facebooka i się rozeszło – odpowiada. Pomieszczenie jest pełne. Każdy do każdego się uśmiecha, ale w oczach widać to samo zmartwienie. Wszyscy są skupieni. „Daj, pomogę ci”. Jakiś mężczyzna zabiera ciężkie pudełko z rąk młodej dziewczyny. „Dzięki, tam są jeszcze dwa. Mógłbyś je wziąć? A ja pójdę przygotować następne”. „Tak, nie ma problemu, idź”. Chwilę się rozglądam, a potem razem z moim przyjacielem zdejmujemy kurtki i zbieramy się do pracy.

„Matka z trójką małych dzieci będzie w Polsce za dwa dni. Czy ktoś miałby wol-

ne mieszkanie dla niej? To moja przyjaciółka z Ukrainy” – czytam w internecie. Dzwonię rano do znajomej, niedawno zmarła jej babcia i musi coś zrobić z mieszkaniem. – Właśnie miałam wstawić ogłoszenie, żeby je sprzedać. Planowałam kupić sobie za nie kawalerkę, ale daj mi numer do tej pani. Ja mam gdzie mieszkać, więc mogę jeszcze się wstrzymać. Tylko jest tam jedynie łóżko... Ale poczekaj, zapytam Piotrkę, bo wspominał, że kupują z Martą nową kanapę. Może jeszcze nie wyrzucili starej – mówi. Wieczorem mieszkanie jest gotowe do przyjęcia nowej rodziny. Kanapa Piotrka stoi pod oknem. Trzeba było zrobić małe przemeblowanie, ale dobrze to wygląda. Moja znajoma kupiła nawet kilka kwiatków, ładnych obrazków i zabawek dla dzieci, żeby było choć odrobinę przyjemniej. – Zostawiłam też pełną lodówkę. Powinno wystarczyć na kilka dni. W garnku jest świeżo zrobiony rosół, żeby mieli coś jutro na obiad, jak przyjadą – opowiada przez telefon. Cieszysz się, że mogła pomóc, a ja cieszę się razem z nią.

Jest czwartek. Siedzę w pociągu i jadę z siostrami do Krakowa. Po dwóch godzinach dojeżdżamy na miejsce. Na peronie widać mnóstwo ludzi. Część z nich leży na podłodze, część siedzi na ławce ze wzrokiem wbitym w podłogę. Chciałybyśmy pomóc, ale nie ma jak. Muszą czekać. Dochodzimy do wynajętego mieszkania. Jest godzina 23. „To co, cytrynówka na Okrągłaku?”. „Tak, chodźmy”. Opuszczamy budynek. Po dwudziestu minutach siedzimy już w barze. Jest miło. Cieszymy się, że mamy możliwość spędzenia tego czasu razem, w spokoju, bez strachu. W środku oprócz nas siedzi może jeszcze sześć innych osób. Potem wchodzi jakiś mężczyzna, a z nim dwie młode dziewczyny. Zajmują stolik obok. Rozmawiam z siostrami o tym, co będziemy robić jutro. Przydałoby się wstać trochę wcześniej i zwiedzić okolicę. Z drugiej strony przy-

jechałyśmy przecież odpocząć. Nieważne, pomyślmy o tym rano. „Jeszcze po jednym?”. „Tak, ja kupię”.

Patrzę na zegarek. Jest chwila po północy. Ubieramy się i wychodzimy na zewnątrz. Jeszcze tylko szybki papieros i możemy iść do domu. Stoimy przed barem. Otwierają się drzwi. Wychodzi mężczyzna z dwiema młodymi dziewczynami, których widziałyśmy piętnaście minut wcześniej. Jedną z nich obejmuję i całuję w policzek. Ja ich nie zauważam, ale moje siostry tak. „Coś jest nie tak”. Przyglądamy się całej trójce. Jedna z dziewczyn słania się na nogach. – Wszystko w porządku? – pytamy. Zaczyna się dyskusja. Mężczyzna szybko staje się w stosunku do nas agresywny. Zabieram więc dziewczynę na bok. – Nie chciałyśmy nigdzie wychodzić – mówi z zakłopotaniem jedna z nich. – Ale głupio tak odmówić. Dzięki niemu moja rodzina ma dach nad głową – dodaje. Pochodzą z Ukrainy. Siedzimy na schodach i staramy się ocucić jej koleżankę, która po chwili wymiotuje.

W tym samym czasie moje siostry nadal rozmawiają z tamtym mężczyzną. Przyłączają się kolejne osoby. – W moich mieszkaniach przebywają dwie ukraińskie rodziny, ile takich rodzin macie u siebie, co? – wykrzykuje. Zamawiam dziewczynom taksówkę, żeby mogły wrócić do domu, bez niego. Mężczyzna orientuje się i łapie jedną z nich za rękę. Nie chce puścić. Ktoś musiał wezwać policję, bo pojawia się patrol. Rozmawiają z każdym po kolei. „Chcemy tylko bezpiecznie wsadzić te dwie dziewczyny do taksówki. Mogą nam panowie pomóc?”. Policja sprawdza ich dowody. – Nic nie zrobimy. Są pełnoletnie, poradzą sobie – mówi jeden z funkcjonariuszy. Każą nam się rozejść. Dziewczyny wracają więc do domu, a razem z nimi agresywny mężczyzna. Zanim odejdą, bierzemy jeszcze od nich numer tele-

fonu. „Napiszcie, jak będziecie na miejscu”. Stoimy jeszcze chwilę i my też wracamy do siebie. Złe i zmęczone siadamy na kanapie. Pijemy świeżo zaparzoną herbatę. Czekamy. Za chwilę pojawia się wiadomość. Wysłały swoje zdjęcie. Są bezpieczne. Idziemy spać.

Z niemałym wzruszeniem i podziwem patrzyłam na to, jak w ciągu jednego dnia dziesiątki tysięcy osób odłożyło na bok swoje sprawy i zaangażowało się w pomoc obcym ludziom. Organizowali zbiórki, zbierali pieniądze, udostępniali pokoje, a nawet całe mieszkania i zapraszali do swojego życia kogoś, o kogo istnieniu jeszcze wczoraj nie mieli pojęcia. Z dumą mogę powiedzieć, że egzamin z człowieczeństwa Polacy zdali na piątkę. Trzeba jednak pamiętać, że pomagać też trzeba umieć. Wszyscy znaleźliśmy się w sytuacji, która jest dla nas nowa i nie każdy potrafi się w niej odnaleźć. Dobrze jest móc opowiedzieć o zbiórkach, na które się wpłaciło pieniądze, o zakupach, które się zrobiło i podarowało, albo o dziesiątkach własnoręcznie zapakowanych i wysłanych pudełek. Ale pomoc to nie wyścig ani licytacja o to, kto zrobił czy dał więcej. Pomoc to nie uzależnianie kogoś od siebie i stawianie w niekomfortowych sytuacjach. I pomoc to przede wszystkim nie wychodzenie na miasto, upijanie do nieprzytomności i całowanie. Po drugiej stronie jest człowiek, który w jednej chwili stracił wszystko. Z dnia na dzień znalazł się w obcym kraju, obcym mieście i w obcym mieszkaniu u obcej osoby. W takiej sytuacji raczej trudno jest powiedzieć „nie” komuś, kto zapewnił nam dach na głowę, dlatego reagujemy i uświadamiamy Polaków, co pomocą nie jest, a osoby z Ukrainy – że nie na wszystko muszą się zgadzać.

TEKST: MARTYNA PACHOLAK  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK



# Plebiscyt straconych złudzeń. Referendum '46

**Ustalenia jałtańskie przypieczętowując los Ziemi Wschodnich RP, jednocześnie zobowiązywały komunistów do szybkiego przeprowadzenia wolnych wyborów. Narzucona władza świadoma rzeczywistych nastrojów postanowiła grać na czas.**

**Wiosną 1946 roku ogłoszono nie powszechnie wyczekiwaną elekcję parlamentarną, lecz referendum ludowe.**

**Pomysł podsunęła... opozycja.**

Z końcem czerwca 1945 roku w Moskwie finalizują się międzyalianckie negocjacje na temat przyszłości Polski. Zapada decyzja o powołaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (TRJN), złożonego zarówno z zorientowanych na Moskwę ludzi nowego reżimu, jak i zdecydowanych wrócić do kraju polityków londyńskiej emigracji. Tym ostatnim przewodzą były premier i lider ruchu ludowego – Stanisław Mikołajczyk. Autorytet chłopskiego polityka, wzmocniony poparciem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, ma niwelować przewagę komunistów i ich satelitów w eksperymentalnym gabinecie.

Choć gra „ugodowców” od początku rodzi liczne wątpliwości, społeczeństwo przyjmuje ją z entuzjazmem. Tym większym, że szybko przynosi pierwsze rezultaty. Już w kilka tygodni po triumfalnym powrocie Mikołajczyka staje się jasne, że komunistom nie udało się zachować pełni kontroli nad odradzającym się życiem politycznym. Istnienie jawnej, cieszącej się masowym poparciem opozycji w postaci Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) jest faktem.

Bieg wypadków wpływa na szukających wyjścia z powojennej matni przywódców podziemia poakowskiego. „Kompromis moskiewski» był punktem zwrotnym w położeniu międzynarodowym i wewnętrznym Polski. Realizując postanowienia krymskie, stanowi on nie tylko praktyczny wyraz ustępliwości Anglosasów wobec Rosji, ale i sygnalizuje ich wolę współdziałania w »urządzeniu« naszego kraju. Uświadomić należy społeczeństwo, że utworzenie TRJN jest realnym faktem, narzucającym nam nowe formy i warunki działania” – zalecają podległym sobie strukturalom. Jeszcze niedawno rozważali dynamizację antykomunistycznej akcji zbrojnej. W nowej sytuacji stawiają na Mikołajczyka i postulat wyborów. Otwarcie wzywają byłych akowców do wycho-

dzenia z lasu, obejmowania stanowisk cywilnych i wspierania legalnej opozycji – oprócz ruchu ludowego także nurtów socjalistycznego i chadeckiego.

We wrześniu 1945 roku, w miejsce podporządkowanej emigracyjnej władzy poakowskiej Delegatury Sił Zbrojnych, powstaje Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość” (WiN). Nowa, już niezależna od Londynu organizacja głosi, że generalne starcie o zachowanie podmiotowości musi rozegrać się w kraju – przy urnach. Wytyczne dla terenowych struktur WiN-u, w punkcie dotyczącym stosunku do tymczasowego rządu warszawskiego, zalecają: „Nie atakować jego legalności (słaby argument w czasach rewolucyjnych – jesteśmy realistami), zasad polityki społecznej i gospodarczej ani polityki w sprawie granicy zachodniej. Atakować wszelkie przejawy wysługiwania się Rosji, obłudę w rządzeniu, niedołęstwo, a nade wszystko deptanie wolności obywatelskiej i realizowanie aparatem państwowym politycznych celów PPR [Polskiej Partii Robotniczej] – agentury sowieckiej”.

## Dziwna jesień 1945

W realiach drugiej połowy 1945 roku obowiązek przeprowadzenia wyborów stanowił dla polskich komunistów realny problem. Zdawali sobie sprawę, że gwarantem ich utrzymania przy władzy są nie dominujące w społeczeństwie nastroje, lecz pozostające na terytorium państwa sowieckie wojska. Tymczasem powstały w wyniku zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami układ sił daleki był od stabilności, a zagadnienie polskie stanowiło w nim jedynie element szerszej rozgrywki ZSRR z demokracjami zachodnimi. Równolegle decydowały się choćby kwestie wpływów na Bliskim i Dalekim Wschodzie czy los strategicznie położonej Grecji.

W takich okolicznościach zagrożenie ze strony opozycji pepeerowcy traktowali poważnie. W październiku na plenum Komitetu Centralnego partii Władysław Gomułka przestrzegając: „PSL zmierza do faktycznego usunięcia nas – PPR – od decydującego wpływu na życie polityczne i gospodarcze kraju, do wprowadzenia naszej partii do roli mało znaczącego czynnika politycznego”. Miesiąc później Kazimierz Rusinek – jeden z przywódców koncesjonowanej Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), na posiedzeniu jej kierownictwa przyznał otwarcie: „Przeciwko nam jest większość społeczeństwa. Polityka rządu nie związała społeczeństwa z reżimem”.

Położenie obozu promoskiewskiego komplikowała trudna sytuacja gospodarcza. Narastająca frustracja społeczna sprzyjała opozycji i podziemu, nagłaśniającemu liczne patologie i gospodarczą eksploatację wyniszczanego kraju ze strony ZSRR. Część konspiracyjnej propagandy, uderzając w PPR, odwoływała się także do nośnych społecznie haseł antysemitycznych. Dodatkowy problem władz stanowiły aktywne zwłaszcza na prowincji oddziały zbrojne – w atmosferze terrorku i samowoli „władz bezpieczeństwa” podjęta przez WiN akcja rozładowywania lasów nie wszędzie przyniosła zakładane rezultaty. Ożywioną działalność prowadziło ponadto idące własną drogą, odrzucające hasło wyborów i liczące na wybuch kolejnego konfliktu podziemie narodowe.

W takich okolicznościach z początkiem listopada 1945 roku z Budapesztu – podobnie jak Warszawa znajdującego się w sowieckiej strefie wpływów – napłynęły wieści o wyborczym sukcesie Niezależnej Partii Drobnych Rolników. Ugrupowanie chłopskie, stanowiące odpowiednik mikołajczykowskiemu PSL-u, zdobyło na Węgrzech samodzielnie większość, otrzymując blisko 60 procent głosów.

## „Położyć tamę reakcji”.

### Koncepcja Bloku Demokratycznego

W Polsce termin wyborów wciąż jednak pozostawał kwestią otwartą. Mobilizacja na ogół niechętnego nowej władzy społeczeństwa nie zmieniała faktu, że to komuniści trzymali w garści niemal cały aparat policyjno-administracyjny. Ich przewagę nad opozycją pogłębiała państwowa monopolizacja rynku poligraficznego. „Położenie PSL jest raczej paradoksalne. [...] Mimo że jest ono najliczniejszym ugrupowaniem polskim i mimo że jego przywódcy są pierwszoplanowymi postaciami politycznymi, [...] nie uzyskało dotąd prawa do wydawania własnej prasy codziennej” – notował w październikowym raporcie wnikliwy obserwator Polski połajtańskiej, ambasador Włoch Eugenio Reale. Choć z biegiem miesięcy wyraźnie wzrastała także liczba członków PPR i koncesjonowanych, acz sprawiających komunistom wiele problemów struktur PPS, społeczna dominacja Mikołajczyka była niezaprzeczalna.

Tymczasem nacisk w kwestii realizacji postanowień jałtańskich wzrastał. Odpowiedzią komunistów było zaostrzenie kursu wobec PSL i wysunięcie pomysłu Bloku Demokratycznego – wspólnej listy wyborczej wszystkich legalnie działających w Polsce stronnictw. Jego realizacja – poza silnym PSL-em i słabym, rozsadzanym przez pepeerowskie wtyczki chrześcijańsko-społecznym Stronnictwem Pracy (SP) legalnie działającym jedynie ugrupowaniem zależnym od komunistów – oznaczałaby odgórny podział mandatów. Tym samym zaś – rezygnację opozycji z walki o wyborcze zwycięstwo kosztem chwilowego złagodzenia represji i możliwości utrzymania się w rządzie „demokratycznej jedności”.

Kontrolowane przez komunistów media zasypały PSL zarzutami o warcholstwo, reakcyjność i zależność od Wielkiej Brytanii, coraz częściej podnosząc też oskarżenia o współpracę z „faszystowskim podziemiem”. W rzeczywistości, choć gdzieś tam do partii ogólnonarodowego sprzeciwu wstępowały także ludzie konspiracji, a poakowski WiN na ogół wzywał do popierania Mikołajczyka, stosunek władz PSL do podziemia był raczej krytyczny.

Liderzy stronnictwa wielokrotnie w ostrych słowach odcinali się zwłaszcza od „band NSZ”, mających eskalować atmosferę bratobójczych mordów i anarchizować życie kraju, dając tym samym komunistom argument do odwiekania wyborów. Nie była to jedynie podyktowana warunkami taktyka – równoległe propaganda nacjonalistyczna przedstawiała ruch ludowy jako element zagrożającego Polsce frontu masonskiego „podporządkowanego światowemu żydostwu”, a raporty WiN donosiły o antypeeselskich wystąpieniach narodowców.

Ostatecznie jednak główna siła opozycji nie uległa problokowej presji. W styczniu 1946 roku na wielkim kongresie PSL, na którym obok chłopskich delegatów w pierwszych ławach gościnnie zasiadli także czołowi politycy komunistyczni, ludowcy otwarcie wezwali do likwidacji okrytego złą sławą Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wycofania z Polski wojsk sowieckich, wreszcie – do realizacji zobowiązań jałtańsko-poczdamskich, a więc rozpisania nieskrępowanych wyborów parlamentarnych. Nieco ponad miesiąc później Naczelny Komitet Wykonawczy PSL definitywnie zdecydował, że „zasady [przystąpienia do Bloku] wysuwane przez PPS i PPR są nie do przyjęcia”. Jakiekolwiek dalsze rozmowy warunkował przyznaniem partii chłopskiej czołowych stanowisk w państwie.

## Fałszywy krok opozycji. Koncepcja referendum

Wobec fiaska koncepcji wciągnięcia PSL na wspólną listę komuniści stanęli przed koniecznością znalezienia nowego wybiegu dla odroczenia niechcianej elekcji. Tym okazała się koncepcja referendum ludowego. Dzięki niemu – według wersji podjętej przez całą maszynę propagandową PPR – Polacy, po raz pierwszy od lat, mieli dostać szansę bezpośredniego wyrażenia swojego stosunku do kluczowych zagadnień państwowej polityki.

Formalnie inicjatywę przeprowadzenia ludowego plebiscytu zgłosiła wiosną 1946 roku koncesjonowana, zablokowana z PPR i jej sateelitami PPS. Z samym pomysłem przedwyborczego referendum wyszło jednak paradoksalnie kierownictwo ruchu ludowego. Liderzy PSL zaproponowali rzeczony wariant, nie mogąc wyegzekwować właściwej realizacji uchwał jałtańskich. Inspirację stanowiła analogiczna inicjatywa we Francji, gdzie jesienią 1945 roku referendum konstytucyjne poważnie osłabiło znajdującą się dotąd w ofensywie partię komunistyczną.

W polskich warunkach, naznaczonych dominacją PPR, sytuacja była jednak znacznie bardziej problematyczna. „Referendum nie jest na tle wydarzeń europejskich akcją oderwaną. Równoległe naród francuski wypowiedział się przeciw parlamentowi jednoizbowemu. Komuniści ponieśli tam wbrew oczekiwaniom wielką klęskę. Francja jest jednak jeszcze [sic!] krajem niepodległym, podczas gdy my jesteśmy wciąż pod okupacją. Wyniki referendum będą u nas na pewno przez administrację PPR sfalszowane” – stwierdzał organ prasowy WiN „Orzeł Biały”. Mimo to na ostateczne wytyczne w sprawie stosunku do

plebiscytu czołowa organizacja podziemna zalecała czekać.

Z trudności położenia zdawali sobie sprawę oczywiście i sami ludowcy. „Walkę z systemem monopartyjnym wygraliśmy. Egzamin zdaliśmy przy dość trudnych warunkach [...]. My dotychczas nie wyraziliśmy zgody na dyktaturę i z dyktaturą innych stronnictw walczymy legalnymi środkami. Okres, który dzieli nas od referendum, nie będzie okresem spokoju. Rozbijane będą nasze wiece, zebrań, będą nagonki w prasie [...]. Stronnictwo musi wytrzymać ataki” – głosił Mikołajczyk na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Wykonawczego partii.

Ostatecznie uchwała dotycząca referendum przyjęta została bez sprzeciwów, także głosami PSL. Decyzję taką opozycyjny klub podjął mimo niekorzystnego dla siebie doboru pytań. Te dotyczyć miały odpowiednio: 1) zniesienia senatu; 2) utrwalenia osiągnięć reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu; 3) utrzymania granicy zachodniej na Odrze i Nysie. W normalnej sytuacji ludowcy poparliby każde z trzech zagadnień. W realiach wiosny 1946 roku krok taki oznaczał jednak głosowanie tożsame z Blokiem Demokratycznym i ponowne odsunięcie w czasie konfrontacji, mającej wykazać realną przewagę opozycji nad PPR i jej sojusznikami.

## „Polaka znak – 3 x TAK”. Kampania przedreferendalna

Z chwilą ogłoszenia terminu referendum – to zaplanowane zostało na niedzielę 30 czerwca 1946 roku – komuniści rozpoczęli ogromną akcję propagandową, której skala nie miała precedensu. Mimo niedoborów papieru na agitację przeznaczono ogromne, niekiedy wręcz milionowe nakłady broszur, ulotek, plakatów. Mury i płoty całego kraju pokrył charakterystyczny slogan „3 x TAK”, czasami spontanicznie „rozbrajany” zamazaniem litery „T”. Nawoływaniu do głosowania za pepercowskim Blokiem – referendum miało wykażać, jakie poparcie reżim jest w stanie uzyskać drogą propagandową, bez stosowania terroru na masową skalę – towarzyszyły nieustanne ataki na PSL.

Ich motywem przewodnim było wiązanie ugrupowania z siłami reakcji, których siedliskiem miał być przedwojenny senat oraz wykazywanie wspólnoty interesów z podziemiem. W istocie PSL wezwało do głosowania negatywnego na pierwsze z pytań ze względów taktycznych, w celu odróżnienia się od komunistów. W instrukcji dla zwolenników stronnictwa ogłoszonej w przededniu plebiscytu jego wiceprezes Stanisław Bańczyk tłumaczył: „Jeżeli mówimy na pierwsze pytanie »nie«, to nie jest to negacja, ale przestrzeganie praw zawartych w konstytucji z 1921 roku [po wojnie oficjalnie powrócono właśnie do konstytucji sprzed zamachu majowego – red.], gdzie jest wyraźnie powiedziane, w jaki sposób może być zmieniona konstytucja. A mianowicie tylko Zgromadzenie Narodowe, złożone z Sejmu i Senatu, ma prawo dokonywać

zmian. Usuwanie już dziś Senatu prowadzi do łamania dalszych praw. Do Senatu jako takiego nie przywiązujemy żadnej wagi”.

Odrębną strategię wobec ludowego głosowania przyjął poakowski WiN. Wiosną 1946 roku stosunek konspiracyjnego zrzeszenia do opozycji mikołajczykowskiej uległ bowiem ochłodzeniu, a jego nowi zwierzchnicy postanowili potraktować głosowanie jako okazję do sprawdzenia własnego wpływu na społeczeństwo. Zrzeszenie wezwało do głosowania na nie w sprawie senatu i reform gospodarczych, podkreślając, że jest przeciwnie nie tyle im samym, co metodom ich wprowadzania. „Na pytanie trzecie – dotyczące naszych granic na zachodzie – odpowiadamy »tak«. Odpowiedź taka łączą się logicznie z całością interesów Polski i stanowić będzie zadokumentowanie wobec zagranicy jednomyślności Narodu Polskiego w sprawie granicy na Odrze i Nysie” – zalecała oficjalna instrukcja referendalna.

Do bojkotu bądź głosowania trzykrotnie na nie wezwało wreszcie podziemie narodowe. Choć narodowcy od lat głosili hasło polskości Ziemi Zachodnich, plebiscyt miał w ich przekonaniu służyć udzieleniu jednoznacznego wotum nieufności narzuconej władzy. Podczas kampanii referendalnej jego zbrojne oddziały występowały nie tylko przeciw ugrupowaniom zablokowanym. Zdarzały się także próby rozbijania wieców peeselskich oraz przeciwdziałania agitacji WiN-u. Szczególnie napięta była sytuacja w północno-wschodniej części kraju, gdzie narodowcy rzucili hasło: „Kto w dzień pójdzie do urny – w nocy pójdzie do trumny”.

## Urna to jest taki pniak, wrzucisz nie – wychodzi tak

Zmasowana akcja propagandowa nie przyniosła oczekiwanego przez komunistów rezultatu. Mimo zastraszania i traktowania wrzucanych do urn pustych kart jako aktu poparcia Bloku Demokratycznego za hasłem „3 x TAK” odpowiedziało się około 25 procent uczestników referendum. Głosy należało zatem odpowiednio „policzyć”, czym zajęła się, przybyła do Polski w gorących dniach czerwca 1946 roku, specjalna komisja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego ZSRR pod kierownictwem płk. Arona Pałkina.

Oficjalne wyniki ogłoszono po blisko dwóch tygodniach. Według nich za Blokiem Demokratycznym opowiedzieć miało się aż 73 procent Polaków. Mimo protestów Mikołajczyka reakcja państw zachodnich była bardzo zachowawcza.

„Sposoby matactw wychodzą powoli – nie znamy jeszcze wszystkich zakulisowych pociągnięć PPR-u. Jedno wszakże jest pewne, że fałszowano na każdym kroku. Świadczy o tym protest Mikołajczyka podany przez radio londyńskie, świadczą liczne protesty członków komisji regionalnych, świadczą liczne aresztowania [...] działacze politycznych niewygodnych dla reżimu, głównie w Małopolsce i Lubelszczyźnie” – konstato-

wało winowskie pismo, zwracając uwagę na wyjątkowość przypadku Krakowa, gdzie organ prasowy PPS zdecydował się ogłosić rzeczywiste wyniki plebiscytu. Rozkład głosów wskazywał tam na zwycięstwo strategii głównej organizacji poakowskiej, a także duże poparcie linii PSL. Większość odpowiedzi „tak” otrzymało jedynie pytanie dotyczące nowej granicy zachodniej.

Zarówno legalna opozycja, jak i podziemie poakowskie próbowały wyciągać z referendalnej farsy wnioski dla siebie pozytywne. Służyła temu wiedza o rzeczywistej postawie społeczeństwa, które – jak pokazało referendum – mimo trwających od ponad roku represji, ale także benefitów oferowanych przez nową władzę stało na platformie polskiej suwerenności. Szansy wciąż upatrywano w wyborach, licząc że przy nich – w obliczu społecznego nacisku i kontroli mocarstw zachodnich – komuniści nie będą w stanie posunąć się do tak ordynarnych chwytów.

Mimo prób podobnych interpretacji świadomość tragizmu położenia stawała się coraz większa. Najwymowniej obrazował to zjawisko wyraźny odpływ ludzi zaangażowanych dotąd w walkę o zachowanie politycznej podmiotowości, będący konsekwencją niemal jawnego sfalszowania czerwcowego referendum. Dotknął on PSL, w którego szeregach rozpręstrzenia zaczął się marazm, a atmosferę pogarszały kolejne, zarówno inspirowane przez PPR, jak i rzeczywiste – powstałe w wyniku poszukiwań innej niż mikołajczykowska drogi, rozłamy. Dotknął także podziemia, w którym coraz więcej członków, nie widząc perspektyw zwycięstwa, wycofywało się z dalszej działalności.

\* \* \*

Drugim, nie finalnym, ale rozstrzygającym aktem tragicznej sztuki miały stać się wyczekiwane wybory, przeprowadzone ostatecznie w styczniu 1947 roku. Do poparcia słabnącego PSL wezwał wówczas nie tylko topniejący i targany aresztowaniami WiN, ale także część właściwie nieposiadających już centralnego kierownictwa, utrzymujących się jednak gdzieś tam w terenie struktur podziemia narodowego. Była to już raczej, miano tego świadomość, dramatyczna manifestacja. Dzień przed głosowaniem ppłk Łukasz Ciepliński – ostatni prezes WiN-u, orędownik jego prowyborczej walki politycznej i zdeklarowany przeciwnik akcji zbrojnej – w sprawozdaniu przeznaczonym na Zachód notował: „Aresztowania przedwyborcze przechodzą wszelkie oczekiwania. Więzienia pełne. [...] Członkowie PSL kolejno zostają aresztowani i w więzieniu muszą wypisać się z PSL. Aresztowano prawie wszystkich posłów z list dzikich. Czekamy z niecierpliwością, aby ta komedia się skończyła”.

TEKST: BARTEK WÓJCIK  
ILUSTRACJA: DOMINIKA HOYLE

*Tekst pierwotnie ukazał się na portalu Klubjagiellonski.pl.*

**Zmasowana akcja propagandowa nie przyniosła oczekiwanego przez komunistów rezultatu. Mimo zastraszania i traktowania wrzucanych do urn pustych kart jako aktu poparcia Bloku Demokratycznego za hasłem „3 x TAK” opowiedziało się około 25 procent uczestników referendum. Głosy należało zatem odpowiednio „policzyć”, czym zajęła się, przybyła do Polski w gorących dniach czerwca 1946 roku, specjalna komisja Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego ZSRR pod kierownictwem płk. Arona Pałkina.**



# W podziękowaniu za konstytucję

**W Polsce dość powszechne jest zawłaszczanie symboli przez różne grupy życia publicznego, używające ich w celu realizacji swojej polityki. Jednym z takich symboli jest wotum wdzięczności za uchwalenie Konstytucji 3 maja 1791 roku przez Sejm Czteroletni, czyli świątynia, która pierwotnie wcale nie miała być Świątynią Opatrzności Bożej.**

Czterdzieści lat temu, w 1982 roku, dr Marek Ostrowski, pracownik Uniwersytetu Warszawskiego, rozpoczął starania, aby uzyskać zgodę na renowację obiektu znajdującego się na terenie Ogrodu Botanicznego UW w Alejach Ujazdowskich: niepozornej kapliczki, niewielkiego kopca, spod którego wystawały cegły. Ukryty wśród drzew zabytek, którego społecznym opiekunem był dr Ostrowski, symbolizuje dobro intelektualny dawnych pokoleń i dzieje parlamentaryzmu w Polsce. Wtedy czasy były niesprzyjające, więc zgoda na konserwację została wydana dopiero po trzech latach starań. Prace konserwatorskie prowadzone głównie przez społeczność uniwersytecką pod przewodnictwem opiekuna budowli doprowadziły do ukończenia jej rewitalizacji akurat na 200. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Pamiętajmy, że osoby zaangażowane w działania konserwatorskie były naukowcami, więc przed rozpoczęciem prac wykonane zostały wszechstronne badania dokumentujące stan obecny, obejmujące nie tylko aspekty historyczno-architektoniczne, ale także florystyczne (co porastało świątynię) i specjalistyczne badania mikrofalowe z wykorzystaniem nowoczesnego, jak na tamte lata, georadaru pozwalającego nieinwazyjnie zajrzeć w głąb badanego obiektu. Badania pozwoliły na przygotowanie działań konserwatorskich. Warto wspomnieć, że wielkiego trudu przysporzyło znalezienie cegieł, którymi można byłoby uzupełnić ubytki w murze, a które swoim rozmiarem i jakością odpowiadałyby tym użytym w XVIII wieku. Po wielu próbach z cegłami z całej Polski, dzięki wytrwałości dr Ostrowskiego, pozyskano cegły z rozbiórki XIX-wiecznego mazowieckiego spichlerza, które spełniły wymagania konserwatorów.

Wielu czytelników pewnie zachodzi w głowę, jaki związek z Ustawą Rządową uchwaloną przez Sejm Czteroletni ma pozostałość dawnego filaru mieszcząca się na skarpie wiślanej między Agrykolą a Alejami Ujazdowskimi. Części osób na pewno przyjdzie na myśl sko-

jarzenie z wotum dziękczynnym za uchwalenie konstytucji, zapewne jednak większość wskaże Świątynię Opatrzności Bożej w dzielnicy Wilanów, jako efekt realizacji postulatów z Deklaracji Stanów Zgromadzonych uchwalonej 5 maja 1791 roku. Wszakże jednak w treści deklaracji nie znajdujemy Opatrzności Bożej, gdyż napisano w niej: „Aby zaś potomne wieki tem silniej czuć mogły, iż dzieło tak pożądane, pomimo największej trudności i przeszkody za pomocą Najwyższego losami narodów Rządcy, do skutku przywodząc, nie utraciliśmy tej szczęśliwej dla ocalenia pory, uchwalamy, aby na tę pamiątkę kościół ex voto wszystkich stanów był wystawiony i Najwyższej Opatrzności poświęcony”.

Dr Paweł Borecki, historyk prawa, zauważa, że określenie „Najwyższa Opatrzność” zamiast „Opatrzność Boża” oraz „Najwyższy Rządca” zamiast „Bóg” jest w pełni świadome, gdyż jest to terminologia charakterystyczna dla Polskiego wolnomularstwa, którego światli przedstawiciele byli autorami zarówno Ustawy Rządowej, jak i późniejszej o dwa dni Deklaracji Stanów Zgromadzonych. Do łóż masonskich należeli: król Stanisław August Poniatowski, Stanisław Małachowski (marszałek Sejmu Czteroletniego), Kazimierz Nestor Sapieha (marszałek Konfederacji Litewskiej), Ignacy Potocki oraz prawdopodobnie Michał Poniatowski będący wówczas prymasem. Wszystkie te osoby miały wielki wkład w uchwalenie konstytucji, a zgodnie z przyświecającymi im ideałami wolnomularskimi świątynia, której ufundowanie planowali, miała być miejscem ponadwyznaniowego kultu, w duchu ekumenizmu i synkretyzmu religijnego. Twórcy konstytucji nie byli ateistami ani wrogami Boga, a ich stanowisko wyrażone przez Jamesa Andersona nadawało każdemu prawo do własnych poglądów i nakłaniało do przestrzegania uniwersalnej religii, zgodnie z którą każdy powinien być dobry, szczerzy, skromny i honorowy niezależnie od pochodzenia czy wyznania.

W pierwszą rocznicę uchwalenia naszej pierwszej konstytucji, w 1792 roku, odbyła się uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod wspomnianą świątynię. Uroczystość ta, o elementach charakterystycznych dla rytuału masonskiego, odbyła się w Ujazdowie na terenie dzisiejszego Ogrodu Botanicznego UW, a pamiątką po niej jest właśnie odrestaurowany filar. Projekt świątyni autorstwa Jakuba Kubickiego (wolnomularza o najwyższym stopniu wtajemniczenia), który zwyciężył w konkursie, według prof. Stanisława Lorentza miał charakter pół świecki, pół pogański, a głównym motywem zamiast krzyża była Delta Świetlista, powszechnie nazywana Okiem Opatrzności (symbol oka wpisanego w trójkąt z rozchodzącymi się od niego promieniami). Zawierucha kolejnych lat uniemożliwiła realizację tego projektu, a miejsce lokacji kościoła ujazdowskiego popadło w ruinę.

Dopiero wraz z odzyskaniem niepodległości w 1918 roku wznowione zostały starania, aby zadość uczynić zobowiązaniu z 1791 roku, jednak lata niewoli i skupienie na myśli narodowej oraz chęć wyraźnego odróżnienia się od byłych zaborców (prawosławnej Rosji i protestanckich Niemiec) spowodowały przeinaczenie pierwotnej idei, które przybrało oficjalną formę w ustawie „o wykonaniu ślubu uczynionego przez Sejm Czteroletni, by wzniesie w Warszawie Świątynię pod wezwaniem Opatrzności Bożej”, uchwalonej 17 marca 1921 roku. Wybór lokalizacji nowego przedsięwzięcia nie był prosty, ale ostatecznie w 1928 roku wybrano Pole Mokotowskie. Na rozpisany w 1929 roku konkurs architektoniczny wpłynęło 58 prac. Pomimo uhonorowania trzech prac równorzędnymi nagrodami żadna z nich nie doczekała się realizacji, gdyż, jak stwierdził kardynał Andrzej Kakowski, projekty „nie posiadały nadto ducha tradycji kościelnej w duchu katolickim, przeto nie odpowiadały celowi, a więc i warunkom konkursu”.

I tak symbol Konstytucji 3 maja, wcześniej zwalczanej przez gorliwych katolików, czego wyraz możemy znaleźć w akcie założenia konfederacji targowickiej, został przejęty przez Kościół katolicki. Plan budowy Świątyni na Polu Mokotowskim ostatecznie został zniweczony przez wybuch II wojny światowej, po której wraz z nastaniem Polski Ludowej nie było już miejsca na takie projekty. Po przemianach ustrojowych w 1991 roku polski parlament potwierdził śluby sprzed 200 lat, co siedem lat później potwierdził w uchwale. Za lokalizację tym razem wybrano Pola Wilanowskie. Pierwsza msza święta odbyła się w Świątyni Opatrzności Bożej 11 listopada 2016 roku, wieńcząc wieloletni okres nieskończonej wciąż budowy, która pochłonęła ponad 200 milionów złotych. Świątynia jest obecnie kościołem parafialnym i jednym z elementów kompleksu Centrum Opatrzności Bożej, do którego należą także Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego oraz Panteon Wielkich Polaków.

Polska jest krajem o najdłuższej historii walki o konstytucję. Zaraz po uchwaleniu Konstytucji 3 maja rozpoczęło się starcie o jej utrzymanie z wojskami rosyjskimi i konfederacją targowicką. Nawet dzisiaj mieszkańcy Polski muszą protestować w jej obronie wobec zakusów władzy. Jeszcze nie tak dawno na straży konstytucji stał Trybunał Konstytucyjny, którego siedziba mieściła się przy alei Szucho 12A. Wszyscy, którzy przychodzą pod ten adres protestować, a chcieliby spędzić chwilę w zadumie i ciszy, wśród zieleni mogą wybrać się do Ogrodu Botanicznego UW, który jest za ledwie 10 minut spacerem stamtąd. Co roku 3 maja odbywa się w nim spotkanie przy filarze Świątyni Opatrzności, często połączone z wykładami okolicznościowymi zapoczątkowanymi przez dr. Ostrowskiego. Pamiętajmy jednak, że o konstytucję i nasze prawa musimy walczyć przez cały rok, nie tylko od święta.

**TEKST: MICHAŁ CHILIŃSKI  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**



## Rzeka podziemna

**Wiadomość, że naukowcy szykują się do odkopania na Żoliborzu rzeki Drny, płynącej niegdyś przez Warszawę, zelektryzowała mnie i od kilku tygodni nie przestaję o niej myśleć. Rzeka przecinała między innymi plac Inwalidów, zapewne też obecną posesję przedwojennej kamienicy, w której od dwudziestu lat mieszkam. Nawiedzający mnie czasami we śnie obraz, że z okien swojego mieszkania na parterze łowią ryby, przestaje być oto fantastycznym urojeniem.**

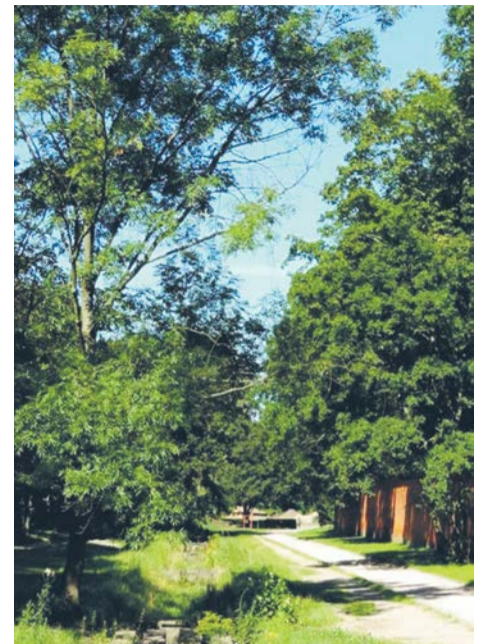
O rzece Drnie wpadającej do Wisły słyszałem od dawna i żeby dowiedzieć się o niej jak najwięcej, dokonałem solidnej kwerendy w bibliotekach i antykwariatach. Historycy odnotowują, że Drna (dawniej Drzasna lub Drzęsna) płynęła przez Warszawę już za panowania Kazimierza Wielkiego, a czterysta lat później, kiedy tron polski objął August III Sas, nadal toczyła swoje wody, może tylko bardziej leniwie. Jej przebieg daje się odtworzyć na podstawie starych map, grafik, planów, pocztówek.

Wiele z nich pokazano niedawno w Muzeum Woli na ciekawej wystawie „Niech płyną! Inne rzeki Warszawy”, którą można oglądać do końca maja.

Źródła Drny znajdowały się na terenie kilku stawów leżących na granicy wsi Wielka Wola i Powązek (stąd nazwa dzisiejszej ulicy Stawki), a jej końcowy fragment można do dzisiaj zobaczyć we fragmentach fosy otaczającej Cytadę. Nad porośniętym dębowym lasem brzegami rzeki budowano młyny, folusze, browary i garbarnie. Za ostatniego króla Rzeczypospolitej, Stanisława Augusta, koryto Drny zostało zasypane i w jego miejscu wybudowano kanał odprowadzający nieczystości. Zaprojektował go wybitny inżynier Ludwik Metzel. Nazwisko miał podobne do mojego, niemal

identyczne, toteż czasami zdarza mi się o nim myśleć jak o kimś z rodziny – dalekim, odnalezionym niespodziewanie krewnym.

Metzel (albo Metzell), według powszechnej opinii naturalny syn generała artylerii koronnej, starosty warszawskiego Alojzego F. Brühla, pochowany został w katakumbach na Powązkach. Jego ciekawy biogram znaleźć można w książce Stanisława Szenica o tej nekropolii. Jako szef inżynierów komunikacji wodnych i lądowych przy Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych był on człowiekiem wielce zasłużonym dla rozdartego zaborami kraju. Budował drogi, mosty, kanały, a urzędzona przezeń w dobrach Szczęsnego Potockiego (obecnie na terenie Ukrainy) Zofiówka – ośniewający park z mnóstwem wodotry-



sków, grobli, kaskad – uchodziła za ósmy cud świata. W roku 1822 Metzel wpadł na pomysł, aby obok pomnika Kopernika na Krakowskim Przedmieściu powstało urządzenie, z którego „woda przez rury pod znacznie szerszymi ulicami przechodzić miała do kilkunastu fontann po różnych przestrzeniach miasta wystawionych dla ochłody w letniej porze i uprzyjemnienia powietrza do przechadzek”. Wizjonerski pomysł nie doczekał się, niestety, realizacji. Utarczki z niekompetentnymi w tej sprawie urzędnikami doprowadzały pomysłodawcę do wybuchów niepomamowanej furii.

Pani Monice Sysiak z Uniwersytetu Warszawskiego, która jako hydrobiolog jest obecnie najgorętszą orędowniczką odkopania podziemnej rzeki Drny, życzę, aby projekt ten właściwym urzędem nie wydał się zbyt śmiały do urzeczywistnienia. Przy okazji polecam jej uwadze onegdajsze pomysły „szalonego inżyniera” Metzla, służące dobrej sprawie. Nasze miasto, podobnie jak my, powinno się dla zdrowia jak najwięcej nawadniać.

ZBIGNIEW MENTZEL

### Onomastyka warszawska

## Aleja 3 maja

**Na współczesnym planie Warszawy maj jest pierwszym miesiącem, który doczekał się nazw ulic odnoszących się bezpośrednio do dat ważnych wydarzeń w historii Polski. Oba świąteczne dni – zarówno 1, jak i 3 maja – doczekały się swoich ulic. Dzisiaj spojrzmy na aleję 3 Maja, która oficjalnie nosi tę nazwę od 2012 roku.**

Aleję 3 Maja znajdziemy w Śródmieściu, od wysokości skarpy wiślanej przy Muzeum Narodowym do estakad zjazdowych z mostu przy Wisłostradzie. Otacza ona wiadukt mostu Księcia Józefa Poniatowskiego, pod którym, w arkadach, znajdują się centrum handlowe i parking, a wokół stoją budynki mieszkalne.

Przed 1949 rokiem ulica ta nosiła imię Generała Władysława Sikorskiego, które uchwałą Rady Narodowej m.st. Warszawy zmieniono na aleję 3 Maja na odcinku od Wisły do Smolnej, a od Smolnej do Marszałkowskiej na Aleję Jeruzolimskie. Rozszerzenie granic Warszawy spowodowało, że zagadnienie interesującej nas alei wróciło do dziennika urzędowego Rady Narodowej w 1954 roku, w celu rozwiązania konfliktu nazw z ulicami 3 Maja znajdującymi się w Wawrze, a dokładniej w Miedzeszynie, Radości i Zagózdzu, które dołączyły do stolicy. Wtedy to Wawer wzbogacił się o ulicę Artystów (Miedzeszyn Nowy). Najwidoczniej nie była zbyt artystyczna, gdyż parę lat później znów zmie-

niła nazwę, a ulica Artystów w roku 2000 przewędrowała na Ursynów. W Radości natomiast zawitała Honoratka (ul. Honoratki), która podobnie jak artyści już zdążyła się wyprowadzić z Wawra. Jedynie Zagózdź utrzymał nazwę, którą w 1954 roku otrzymała dawna ulica 3 Maja, czyli „Panny Wodnej” – nawiązującą do historycznych i literackich statków.

Obecnie aleja 3 Maja zyskuje coraz większą popularność dzięki modernizacji Powiśla, rozbudowie bulwarów wiślanych

i porządkowaniu parków na skarpie wiślanej. Jest ona naturalnym łącznikiem skarpy i górnej Warszawy z terenami bezpośrednio nad Wisłą, dlatego też można liczyć, że zgodnie z aktualną polityką tworzenia zielonego miasta jej otoczenie będzie coraz atrakcyjniejsze i wkrótce stanie się głównym szlakiem spacerowych prowadzących od Muzeum Narodowego w kierunku Wisły.

MICHAŁ CHILIŃSKI



**Zbrodnie od zarania dziejów budziły ogromne zainteresowanie. Rodziły domysły oraz wiele nierzadko sprzecznych ze sobą plotek. Wraz z powstaniem i rozwojem prasy dotychczasowe podania ustne przerodziły się w obszerne, szczegółowe i barwne relacje, obfitujące częstokroć w makabryczne i przerażające sceny. W przeszłości, podobnie jak dzisiaj, sensacje stawały się dla wydawców żyłami złota, podnoszącymi sprzedaż oraz wiążącymi czytelników, głodnych nowych informacji i wrażeń, z poszczególnymi tytułami.**



# Nekros: Sprawa Rozmuszewskiej

200 lat temu Warszawę wstrząsnęła zbrodnia, dzięki której założony rok wcześniej „Kurier Warszawski” stał się wiodącym tytułem stolicy Królestwa Polskiego, dystansując tym samym pocziwego „Korrespondenta Warszawskiego”. Poniższy artykuł opisując głośną sprawę Rozmuszewskiej z 1822 roku, relacjonując śledztwo i proces, ma również na celu ukazanie wzrostu znaczenia prasy w I poł. XIX wieku oraz jej roli w rodzącym się społeczeństwie masowym.

Historia tej głośnej zbrodni rozpoczyna się 24 stycznia 1822 roku. Tego dnia prasa doniosła o morderstwie właścicielki kamienicy przy ulicy Elektoralnej – Magdaleny Duniewiczowej: „Wydarzył się tu okropny wypadek: Matka J.Pani Magdaleny Duniewiczowej [...] zwyczajnie około godziny 8 rano na głos dzwonka przysłała kawę swej córce spijającej w trzecim pokoju. Onegdaj, zdzwonka, iż o zwyczajnej godzinie nie słyszysz dzwonka, woła służącą, ta się wcale nie odzywa, idzie przeto do pokoju córki, głucho panuje milczenie, zbliża się łóżka, bierze za rękę i znajduje ją zimną i bezwładną, przerażona wzywa innych lokatorów, którzy widzą Panią Duniewiczową zamordowaną. Nieboszczka miała mocno związane chustkami twarz i głowę, siekiera leżała przy łóżku; po oderwaniu chustek pokazało się, iż obuchem była uderzona w głowę, kość czoła zupełnie jest strzaskana”.

Szczegółowość i plastyczność opisu miała nie tylko przybliżyć czytelnikom zbrodnię, ale wręcz sprawić, aby poczuli się, jakby towarzyszyli matce w odkryciu śmierci córki. W dalszej części artykułu wskazana została winna tej zbrodni. Była nią pokojówka, która miała zbiec z pewną sumą pieniędzy i kosztownościami. Już pierwsze doniesienia na temat morderstwa na tle rabunkowym zawierały kluczową dla całej sprawy przestrożę: „Ta służąca niedawno była przyjęta i nowy dowód, jak wielką ostrożność zachować należy w przyjmowaniu służących i z jaką bacznością badać trzeba o ich rekomendację”. To właśnie pewnego rodzaju dydaktyzm, obok szczegółowości opisów, stanie się głównym motywem relacji prasy na temat zbrodni ze stycznia 1822 roku.

W następnych dniach mieszkańcy Warszawy poznali personalia domniemanej morderczynie: „Zbiegła służąca po zabójstwie

śp. Duniewiczowej nazywa się Marianna Rozmuszewska”. Śledzili również okoliczności jej schwytania, którego miał dokonać syn zamordowanej. Mimo że osobiście nie znał służącej, to „prawie instynktem powziął podejrzenie widząc ją na ulicy, poznał chustkę swej matki i natychmiast ujął zbrodniarkę”. Dość szybko – dzień po aresztowaniu – Rozmuszewska przyznała się do zbrodni. Jednocześnie zaprzeczyła posiadaniu jakichkolwiek współników.

1 lutego „Kurier Warszawski” opublikował relację będącą kolejną przestrożką: „Była ona [Rozmuszewska] zawiedziona do Czerniakowa, gdzie są pochowane zwłoki śp. Duniewiczowej, wydobyto z grobu zwłoki dla pokazania ich zabójczyni, był to widok dla niej okropny, mdlała ustawicznie, spojrzęła na ofiarę swej zbrodni i przyznała, iż są tej, której wydarła życie”. Jednak z powodów sanitarnych oraz przede wszystkim podejścia wiary katolickiej do zwłok wątpliwe jest, żeby taka sytuacja miała faktycznie miejsce. Można domniemywać, że rzeczywiście zabrano Rozmuszewską na miejsce pochówku ofiary w celu uzmysłowienia służącej konsekwencji jej czynu, co miało dodatkowo spotęgować wyrzuty sumienia, jednak najpewniej odbyło się to bez „okazania ciała”. Dydaktyzm tej sceny musiał jednak pobudzić wyobraźnię czytelników, szczególnie że w dalszej części artykułu dowiadujemy się, że „od czasu dokonania zbrodni sen ją zupełnie odstąpił, zawsze zdaje się widzieć nieboszczkę swą panią”. W kolejnych dniach, wobec braku nowych informacji na temat zbrodni, prasa warszawska odnosiła się przede wszystkim do plotek krążących po mieście. 10 lutego zdementowano pogłoskę o śmierci samej Rozmuszewskiej.

Przez następne dwa miesiące przed Sądem Sprawiedliwości Kryminalnej Województwa Mazowieckiego i Kaliskiego toczył

się proces Rozmuszewskiej, skrzętnie relacjonowany przez prasę. Ostatecznie 20 kwietnia 1822 roku odbyła się rozprawa końcowa, na której „mnóstwo znajdowało się słuchaczy”. Zgodnie z przyjętą linią obrony adwokat próbował dowieść, że Rozmuszewska zabiła swoją panią nieumyślnie. Jednak bez efektu. „Wyrok skazał zabójczynię na utratę życia mieczem, z dodatkiem, iż prowadzona będzie na śmierć w ubiorze czarnym”. Interesujące jest obostrzenie w sentencji wyroku – czarny strój. Wynikało to wprost z art. 28 Kodeksu karnego z 1818 roku, który stanowił, że „popelniający morderstwo na osobach, względem których szczególne mają obowiązki, prowadzeni bydlę mają w ubiorach czarnych na miejsce śmierci”. Dotyczyło to nie tylko służących dopuszczających się zbrodni na pracodawcach, ale również matki- i ojczobójców (podobne rozwiązania istniały wówczas m.in. we Francji).

Oprócz służącej sąd skazał również doróżkarza wiozącego Rozmuszewską po zbrodni. Mężczyzna usłyszał wyrok roku więzienia za nieujawnienie sprawcy zabójstwa (w toku śledztwa wyszło na jaw, że pokojówka sama miała mu wyznaczyć swoją zbrodnię). W procesie podejrzany (o podżeganie do morderstwa) był również lokaj zamordowanej Duniewiczowej, jednak z powodu braku dowodów sprawa ta została umorzona. Wobec pozostałych osób podejrzanych o współudział zasądzono kary pieniężne. 4 maja prasa doniosła, że skazana złożyła rekurs do Sądu Apelacyjnego, który jednak utrzymał wyrok niższej instancji.

Morderstwo Duniewiczowej nie było ani pierwszą, ani ostatnią tego typu zbrodnią w stolicy Królestwa Polskiego. Pięć lat później Warszawę obiegła informacja o kolejnym głośnym morderstwie. W 1827 roku przez swoją pokojówkę została zabita nieja-

ka Elżbieta z Kamieńskich. Służąca Marianna Januchowska miała posłużyć się wówczas siekierą, zaś motywem zbrodni miały być „doznawane przez służącą nieprzyjemności” od pracodawczyni. Podobnie jak w 1822 roku prasa szczegółowo relacjonowała zbrodnię, śledztwo oraz proces sądowy. Co ciekawe, nie odnajdujemy doniesień o wykonaniu wyroku – kary śmierci. Można domniemywać, że car skorzystał wówczas z prawa łaski, chociaż takowa informacja nie pojawiła się w żadnej gazecie.

Rodząca się nowoczesna prasa od samego początku uwielbiała sensacje (w tej kwestii niewiele się zmieniło). Nie tylko skrzętnie o nich donosiła, ale również szczegółowo je opisywała, nierzadko przy tym ubarwiając. Jednak mimo tego „brukowego” wymiaru gazety pełniła ona również szczególnie ważną rolę moralizatorską. Wydawcy starali się, aby nawet tak makabryczne wydarzenia przekuć w przestrożę, pewnego rodzaju opowieść wychowawczą. Głośne morderstwa budziły ogromne zainteresowanie mieszkańców Warszawy, z czego korzystali wydawcy, szczególnie i bardzo obrazowo opisując wszelkie detale związane ze zbrodniami. Jednocześnie nie zapominali o swojej wychowawczej roli – starali się przestrzegać i do pewnego stopnia edukować swoich czytelników, co z dzisiejszego punktu widzenia zdaje się nam nie lada anachronizmem. Współcześnie z Rozmuszewską najpewniej przeprowadzono by obszerne wywiad wraz ze specjalną sesją zdjęciową na koniu.

Zbrodnia z 1822 roku swój epilog znalazła na szafocie. Jednak to już zupełnie inna, równie makabryczna i szczegółowo opisywana przez ówczesną prasę historia.

**TEKST: PAWEŁ M. MROWIŃSKI  
ILUSTRACJA: ALEKSANDRA OŁDAK**